

Thomas R.P. Mielke

Sakriversum

przełożył Wawrzyniec Sawicki

Thomas R.P. Mielke, pisarz niemiecki urodzony w roku 1940, zadebiutował w roku 1958. Przez wiele lat prowadził agencję reklamową w Berlinie Zachodnim. W roku 1980 ukazała się jego pierwsza powieść — „Grand Orientale 3301”. W roku 1983 otrzymał nagrodę Roberta Sheckleya za opowiadanie. Powieść „Sakriversum”, która ukazała się w roku 1984, zdobyła wielkie uznanie krytyki, została uznana za najlepszą książkę w niemieckiej science fiction i zdobyła autorowi prestiżową nagrodę im. Kurda Lasswitza. Można chyba uznać, że jest to jedna z tych powieści, które zmuszają profanów do zmiany zdania na temat literatury SF.

Powieść w oryginale liczy przeszło 600 stron. Prezentowane u nas obszerne fragmenty pozwalają wyrobić sobie zdanie o walorach „Sakriversum”, zanim ukaże się jej pełny przekład w formie książkowej (Wyd. „Śląsk”).

Ł.J.

Rozdział I

- Kiedy płomień świecy stawi ostatnie krople pszczelego wosku, zginiemy. Wraz z nami zginie tajemnica, którą nasz lud przechowywał przez siedemset lat!

Głos starego człowieka o zapadłych policzkach drżał jak cień świecy na ścianach krypty. Nikt z członków Rodziny nie odważył się przeszkodzić Mistrzowi Wolframowi. Pomimo iż miał dopiero pięćdziesiąt lat, jego twarz pod wysokim, szerokoskrzydłym kapeluszem sprawiała wrażenie chorej i zmęczonej.

- Nie mamy już suszonych owoców - mówił dalej po dłuższej pauzie - ani mąki, ani świec. Wielkie ptaki nie krążą wokół katedry, póki na zewnątrz utrzymuje się niezdrowe powietrze...

Mistrz położył rękę na ramieniu stojącej obok młodej dziewczyny.

- Powiedz Guntramowi, żeby przyszedł do mnie - wyszeptał cicho.

- Dobrze, Mistrzu Wolframie.

Ładna dziewczyna o jasnych włosach zgamęła na piersi pięknie wyszywaną chustę i przemknęła obok niechlujnie wyglądających członków Rodziny. Jej brat, Guntram, stał nie opodal w cieniu.

- Nasz dziad chce z tobą rozmawiać...

Guntram skinął głową. Już od paru godzin oczekiwał, że zostanie przywołany przed oblicze członków Rodziny. Wraz z siostrą przecisnął się przed drewniane krzesło mistrza Wolframa.

- Agnes powiedziała, że nadszedł mój czas...

Stary człowiek spojrzał uważnie na swego wnuka i wolno skinął głową.

- Spodziewałeś się tego?

- Tak.

- A więc idź i nalej do kielicha Wina Ostatniej Łaski, które będziemy kolejno pić!

- Wino jest gęste i pachnie jak żywica - wyszeptał Guntram.

- Przyjrzałem mu się...

- Rób, co mówię!

Guntram wewnętrznie sprzeciwiał się temu rozkazowi. Miał dopiero szesnaście lat, ale czuł się wystarczająco silny, żeby zaprotestować przeciwko sztywnym regułom swojej Rodziny.

Od trzech lat - potajemnie - w każdej wolnej chwili zgłębiał powody, dla których wszystkie Rodziny w Sakriversum żyły od stuleci w zagadkowej, dziwnej izolacji pod ołowianym dachem katedry, podczas gdy na zewnątrz kul tury i cywilizacje rozwijały się zupełnie inaczej niż oni.

Przypomniawszy sobie stare opowieści. W nierównomiernych odstępach czasu mieszkańcy Sakriversum uciekali w głąb katedry przez tajemne korytarze, po niekończących się krętych schodach. Tylko w ten sposób mogli za każdym razem uniknąć wojen, zarazy i nieoczekiwanych inspekcji Wielkich Ludzi.

Jednakże każda ucieczka była bardziej męcząca i uciążliwa od poprzedniej...

Mistrz Wolfram, mimo swojego wieku, mierzył jeszcze dobre dziewięć cali, Guntram i jego siostra już tylko osiem.

- Złoty kielich przodków należy do naszych największych świętości - powiedział mistrz Wolfram. - Jeżeli wypijemy wspólnie Wino Ostatniej Łaski, nikt z Wielkich Ludzi nie pozna tajemnicy, której zawdzięczamy naszą egzystencję.

Guntram wystąpił o krok do przodu.

- Czyż nie mówiliście zawsze o tym, że musimy uczynić wszystko, żeby żyć dalej, bez względu na to, co dzieje się na świecie? Czyż nie była to nasza wielka misja od siedmiuset lat?

- Zostało napisane...

- Nie! - wykrzyknęła Agnes. Obiema rękami ujęła swoje bujne jasne włosy, rozwiązała węzeł na karku i rozpuściła je na ramiona. Przekornie potrząsając głową, podeszła do brata. - Guntram ma rację! Jesteśmy jeszcze za młodzi, żeby wszystko rozumieć, ale wiemy, że nasz wspólny przodek nie wybudowałby Sakriversum, gdyby nie ufał w naszą przyszłość..

- Agnes!

Guntram próbował uspokoić swoją siostrę.

- Zostaw mnie! - zaczęła się bronić. - Nie widzisz, co tu się dzieje? Brakuje nam odwagi. Przyznaję, że podczas długich nocy również i ja myślałam o Winie Ostatniej Łaski, ale to było bluźnierstwo! Wiemy, że na naszych Rodzinach ciąży klątwa, ale przecież jesteśmy również Strażnikami Wiedzy!

- To bez znaczenia - odezwał się zmęczony mistrz Wolfram. - Tym razem nie możemy już powrócić do Sakriversum!

Guntram rozejrzał się wokół.

- Może nie wszyscy - powiedział i wziął siostrę za rękę. - Ale jeżeli choćby niektórym z naszej i z innych Rodzin uda się dotrzeć do Sakriversum, mógłby to być nowy początek...

Wolfram potrząsnął przecząco głową. Członkowie Rodziny zaczęli cicho rozmawiać między sobą. Każdy z nich był innego zdania. Wszyscy zaczęli się cisnąć na najwyższą z ułożonych w piramidę, coraz mniejszych, płaskich belek.

Blask świecy nie wystarczał, żeby oświetlić podłogę krypty. Wiedzieli, że w innych komorach Ołowianych Podziemi czekały także i inne Rodziny. W pierwszych tygodniach odwiedzali się jeszcze nawzajem, później wizyty były już coraz rzadsze.

- Od dawna nie stać nas już na powrót do Sakriversum - powiedział Mistrz Wolfram. - Jesteśmy na to za słabi. Nikt nie wie, jak teraz jest na górze. Ołowiany dach katedry mógł ochronić nasze pola i ogrody, ale tym razem w powietrzu panuje oddech-zaraza, która w przerażający sposób zabija wszystko, co jeszcze żyje!

- Ale moglibyśmy spróbować...

Wolfram przecząco potrząsnął głową.

- Wiem, że młodość zawsze chce postawić na swoim w walce z mądrością wieku dojrzałego, ale Prawo jest ponad wszystkim!

- Czyż Prawo nie mówi również, że powinniśmy wypić Wino Ostatniej Łaski dopiero wtedy, kiedy w żadnym z nas nie będzie już nadziei?

- Nie ma żadnej nadziei...

- A jednak! - odchrząknął Guntram. - Agnes i ja nie chcemy jeszcze umierać. Nadszedł rok, w którym oboje powinniśmy założyć rodzinę. Rozmawialiśmy już o tym... - uśmiechnął się lekko i spojrzał na Agnes, która zmieszana opuściła głowę. Przez jej twarz przemknął wyraz obawy.

Guntram wbił oczy nieruchomo w ziemię. Z trudem usiłował opanować targające nim uczucia. Od kiedy mistrz Wolfram przed czterema laty zaczął wprowadzać go w tajemnice alchemii, poznał wiele prastarych mądrości. Nie miały one nic wspólnego z magią i czarami. Ale tylko wtajemniczeni mogli zrozumieć, że za tymi wszystkimi znakami, symbolami i rytuałami stoi nieprawdopodobnie skomplikowane, a jednocześnie bardzo proste wyjaśnienie współdziałania rzeczy widzialnych i niewidzialnych - tak różnorodnych, a jednocześnie powiązanych ze sobą jak całe Uniwersum...

Guntram wiedział, że mistrz Wolfram potrafi robić złoto, jedna TT nawet transmutacja rtęci w ten szlachetny metal była tylko częścią właściwej tajemnicy.

Od czasu, kiedy zaczął rozumować samodzielnie, stale pamiętał o trzech wielkich tabu swojego ludu, o których nigdy nie rozmawiano - były to odpowiedzi na pytanie o ich dziwną egzystencję, o rozwój cywilizacji Wielkich Ludzi i o tych po drugiej stronie katedralnego dachu, którzy byli podobni, choć nie tacy sami jak oni.

Kilka dni przed nadejściem nocy „białego ognia” mistrz Albrecht, który jako Strażnik Świata żył w Sakriversum bez rodziny, doniósł, że do miasta przybyło zaskakująco wielu Włóczędzów. Niektórzy z nich podobno ruszyli w drogę w górę, pod dach katedry...

Guntram zdecydował się złamać jedno z tabu.

- Kim są Włóczędzy? - zapytał.

Członkowie Rodziny Alchemików zadrżeli z przerażenia. Natomiast mistrz Wolfram wpatrywał się długo i badawczo w swój ego wnuka.

- Po co ci ta wiedza?

Guntram wzruszył ramionami. Schylił się i sięgnął do skrzynki, w której przechowywany był klucz do spiżarni. Po każdej kolejnej ucieczce ich klucze i zamki stawały się dla nich coraz większe.

- Przyniosę wam Wino Ostatniej Łaski - powiedział. Ale tylko wtedy, kiedy pozwolicie odejść mnie i Agnes.

- Wygnać ich!
- Pomruk pozostałych członków Rodziny stawał się coraz głośniejszy.
- Tokacerstwo!
- Zdrada...

Mały wąski sztylet ze świstem wbił się w belkę przed Guntramem i mistrzem Wolframem. Rzucił go mąż Matyldy.

- Niech Bóg strzeże nas przed zaślepieniem i chorobą św. Wita!
- In nomine Sanctae et individue Trinitatis! - glucho odpowiedział chór pozostałych członków Rodziny. W drewno belki wbiły się cztery dalsze sztylety.

Rozdziału

Chłodny, wiosenny wiatr skowyczał w oknach z rozbitymi szybami. Rozwiewał na wpół stopione w ogniu firanki i unosił spalone reszki kartonów, które opadały jak deszcz na podobne do mumii zwłoki, leżące na krzesłach i biurkach.

Ciała wyglądały tak, jakby naraz wszystkie znieruchomiały w jakimś scenicznym ujęciu.

W jednej z bocznych ścian niskiego, piwnicznego pomieszczenia, pod którą stały cztery rzędy niewysokich, szerokich na metr szafek z płaskimi szufladami, ziała ciemna szczelina. Na podłodze, w kupie gruzu leżało jakieś fantastyczne zwierzę. To z jednej z wież pobliskiej katedry musiał spaść gargulec...

Kiedy poranne, blade słońce weszło ponad puste miasto, wichura zaczęła słabnąć. Po raz pierwszy od wielu dni czerwonawy smog pomiędzy domami zdawał się rzednąć.

Miasto nie wyglądało na specjalnie zniszczone. Z wyjątkiem kręgu wypalonych ruin wokół kamiennych zwałów dawnego centrum wszystko wyglądało w miarę normalnie. Z trudem można było jedynie zauważyć, że wokół katedry, w domach odrestaurowanego Starego Miasta brakowało wszystkich szyb.

Wyglądało to tak, jakby puste ulice oczekiwały na ludzi, którzy za chwilę wyjdą z domów. Światła na skrzyżowaniach zmieniały się z czerwonych przez żółte na zielone. Nigdzie nie było widać samochodów ani żadnych innych pojazdów. Głęboko pod fundamentami budynków ód czasu do czasu rozlegał się jakiś grzmot.

Kiedy wskazówki zegarów, za których odnowienie miejski konserwator na krótko przed katastrofą otrzymał odznaczenie, kiedy więc te wskazówki przesunęły się na godzinę 9.56, w niektórych kościołach i kaplicach zaczęły bić dzwony. I mimo że był to wtorek, czterdziesty pierwszy dzień po nocnej katastrofie, dzwony, jak podczas spokojnych niedziel, znowu wzywały na msze. Tylko ludzie nie przychodzili...

Dopiero gdy słońce stanęło w zenicie, w jednym z milczących domów zaczął się jakiś ruch. W budynku szacownego wydawnictwa „J. Samuel Bruhns” nagle wywróciło się na pokrytą czerwonym pyłem betonową podłogę pięć ciężkich kaszt drukarskich, wypełnionych tysiącami dokładnie posortowanych ołowianych czcionek. Na kilka minut ponownie zapadła cisza. Wzbiły kurz zaczął znowu opadać, kiedy zza regału z kasztami wysunęła się macająca wokół ostrożnie żółtobruda dłoń w rękawicy.

Za rękawicą pojawiło się ramię, a potem głowa. Dziwnie nieruchoma, a jednak należąca do człowieka, podobna do maski twarz nie sprawiała ludzkiego wrażenia. Ta podrapanej pokryta brudem karykatura ludzkiej istoty była już tylko podobna do mumii.

Twarz człowieka pozbawiona była brwi. Głowa ze spalonymi włosami wyglądała jak zacerwieniony pustynny krajobraz z ropiejącymi wysepkami i czarnymi pęknięciami w skórze. Człowiek oddychał wykrzywionymi rozpaczliwie ustami, wydając z siebie suche, szeleszczące odgłosy. Okutany gumowymi fartuchami, rękawicami, papierowymi taśmami, sznurkami, którymi przywiązał to wszystko do ciała, uratowany człowiek pełził wolno, odpoczywając co chwilę, w kierunku słonecznego światła.

Ciche gruchanie gołębia wywołało skurcze palców w rękawicy. Zmrużył oczy patrząc pod światło. Początkowo nie widział nic, dopiero po chwili odkrył na głowie kamiennego rzygacza małego ptaszka, jeszcze mniejszego od kolibra.

Lewa ręka człowieka wolno przesuwała się po pokrytej pyłem podłodze. Ptak próbował odlecieć. Człowiek zobaczył jak z jego skrzydeł opadają szare pióra. Z ostatnim, żalosnym gruchaniem miniaturowy gołąb przewrócił się na bok i padł martwy.

Człowiek westchnął głęboko. Przez jego ciało płynął strumień nieskoordynowanych, chaotycznych uczuć. Jak u chorych na malarię, którzy widzą tylko wyolbrzymione fragmenty ze zbiorów postrzeżeń, wspomnień i odczuć, wszystko w jego wnętrzu krążyło wokół śmierci miniaturowego gołębia.

Niezrozumiała śmierć już raz zmieniła jego życie. To było dawno temu, ale pierwsze, świadome przeżycie rzuciło na późniejsze lata melancholijny cień...

*

Jego pierwsze wspomnienia sięgały pewnego letniego dnia roku 1995. Miał wtedy zaledwie dwa lata. Wyraźnie widział przed sobą spocone brązowe i czarne konie z jeźdźcami ubranymi w czerwone kurtki. Z kojca na balkonie domu, w którym mieszkali wtedy jego rodzice, rozpoznawał dokładnie na pierwszym koniu swoją matkę. Jej jasne włosy zaczesane gładko do tyłu i związane na karku w luźny węzeł połyskiwały w słonecznym świetle jak złoto.

Konie parskały po długim biegu. Na dziedzińcu posiadłości wpadało coraz więcej jeźdźców, a służba w niebiesko-srebrnych liberjach serwowała dziczyznę z rożną, sałatki i koktajle. Myśliwskie rogi ogłosiły koniec polowania z nagonką. Ziejące psy odpoczywały w jednym z kątów pod grubym na metr murem, który otaczał jak obronny wał stojący na wzgórzu ponad małą wioską dwór.

Widział, jak stajenny chciał uchwycić za uzdę konia jego matki. Gnadosz zatańczył nerwowo, uskokzył w bok i znalazł się za blisko pryskających tłuszczem z dzików płomieni ogniska. Głośno rżąc, wałach wspinał się na tylne nogi. Kobieta o jasnych włosach spadła głową w dół, na ziemię.

Później wszystko było już inne - szare dni, które rozjaśniały się tylko wtedy, kiedy ojciec przywoził mu ze swoich długich podróży słodczyce albo zabawki...

Twarze młodych guwemantek przepływały przez pamięć jak galeria aniołów, wśród nich pojawiały się małe, zapamiętane, choć właściwie nic nie znaczące sceny, które kojarzyły mu się z jakimś zapachem, szczególnie nastrojem, postrzępionymi chmurkami ponad szerokim, falującym polem żyta czy też aromatycznym smakiem dymu z nad kartoflisk.

Sylwester 1999 roku. Tego wieczoru miał na sobie ciemnoniebieski, aksamitny garnitur. Jego ojciec był jeszcze bardziej poważny, niż zwykle.

- Dałby Bóg, żebyśmy przetrwali kolejne sto lat - stwierdził, gdy na niebie, jeszcze przed północą, pojawiły się sztuczne ognie witające nowe tysiąclecie. Trzy dni później polecili obaj do Anglii.

Lata spędzone w internacie wypełnione były takimi anachronicznymi pojęciami, jak humanizm, obowiązek i moralność.

Podczas ferii ojciec czasami po niego przyjeżdżał i zabierał go do miejsc, gdzie bywały rodziny takie jak ich. Dopiero o wiele później zrozumiał, przed czym ojciec chciał go przez te wszystkie lata uchronić. Jeszcze podczas swoich studiów na różnych uniwersytetach (najpierw historia, później teologia, a w końcu germanistyka), zorientował się, że właściwie należy do kasty skamielin. Mówił, myślał i odczuwał inaczej niż większość studentów. Jego wyobrażenia świata i przyswojona pewność siebie nie pasowały do realiów nowego tysiąclecia...

Na krótko przed śmiercią ojciec pomógł mu w otrzymaniu pracy w wydawnictwie J. Samuela Bruhnsa. Był jedy-nakiem wyrastającym wśród starszych i dopiero jako młody wspólnik J.S.B. znalazł pracę, która pociągała go również intelektualnie.

J.S.B. był także reliktem przeszłości. Jako jedyny wydawca w Europie drukował jeszcze metodą Gutenberga rodowody i kalendarze genealogiczne. Przez całe swoje życie zbierał ołowiane czcionki tak jak inni ludzie zbierają znaczki czy motyle. Poza tym jako jedyny wydawał gazety drukowane jeszcze na prawdziwym papierze.

W nocy z 7 na 8 marca roku 2018 Goetz poszedł do piwnicy z najstarszymi czcionkami w poszukiwaniu szczególnie ładnego kroju liter do złożenia romantycznego wiersza. Z ciężką kasztą w rękach zaczął wchodzić po zbutwiałych, dawno już nie używanych schodach na górę.

Uderzenie pioruna i jego blask przebijający się przez szczeliny w murze rzucił go na zatechły stos zbutwiałych papierowych odpadków.

Przez trzy dni leżał nieprzytomny w śmieciach pod ciężarem drewnianej skrzyni. Teraz uświadomił sobie, że to omdlenie uratowało mu życie. Nie chciał nawet myśleć o straszliwych dniach, które nastąpiły później, jednakże jego pamięć była silniejsza od woli. Zebrało mu się na młodości, kiedy przypomniał sobie, w jaki sposób musiał się

odżywiać podczas dni, jakie nastąpiły po katastrofie. Jeszcze teraz czuł w swoich ustach obrzydliwy smak papieru! kleju z kości, resztek drewna i książkowych opraw ze świńskiej skóry...

W mroku, chory, w gorączce pił słoną wodę z po omacku znalezionych studziennych upustów. Teraz, milimetr po milimetrze, dźwignął swe opatulone ciało z kurzu i straszliwie wolno zaczął pełznąć w kierunku cienia.

Z trudem zaczął schodzić w dół, w stronę dającej poczucie bezpieczeństwa ciemności. Jak zwierzę, które obawia się ciemności, a jednocześnie czuje się bezpiecznie w jaskini, stapał po skrzypiących schodach.

Światło dochodzące z góry nie wystarczało, żeby rozjaśnić wielką piwnicę archiwum. Mimo to Goetz von Cobura stanął nagle jak wryty. Wpatrywał się w wiszącą na ścianie tabliczkę, której nie zauważył w mrocznej samotności dni, które upłynęły od katastrofy:

AWARYJNE WEJŚCIE DO SCHRONU

Strzałka wskazywała kierunek na prawo. Wściekły na siebie samego Goetz von Coburg wpatrywał się w tabliczkę. Ile dni spędził w nieświadomości, wyczerpany, na pograniczu rozpaczy pod tą wybawicielską wskazówką!...

Rozdział III

Wbite w belkę sztylety utworzyły pięciokąt, ale ten symbol sądu kapturowego nie robił już wrażenia na Guntra i mnie.

Nie poczuł wcale bólu, kiedy wyrwał je z drewna zdecydowanym ruchem. Podniósł rękę, zwolnił uścisk i sztylety upadły. W ostatnim błysku świecy pokazał członkom Rodziny Alchemików wewnętrzną stronę dłoni. Pięć czerwonych linii oznaczało miejsce dotyku kling sztyletów.

- Masz w sobie moc Budowniczego Katedry - usłyszał w myślach głos mistrza Wolframa. - Jest to olbrzymia moc wiary, bez której żaden z ludzi nie może żyć, nawet jeżeli neguje istnienie Boga! Mistrzowie Łoży poprzez nowe, gotyckie katedry stworzyli wzbijający się ku górze wizerunek nieba. Chcieli w ten sposób przybliżyć materię duchową, a świat Bogu. Idź ku niebu, mój wnuku! Być może wiara pomoże wam odnaleźć Sakriversum... lub poznać jeszcze większą tajemnicę!

Guntram nie zauważył, jak do katakumby nagle zaczęli wciskać się przez małe otwory członkowie innych Rodzin.

Zbierali się wokół drabin prowadzących ku wyższym platformom. W godzinie zbliżającej się śmierci wszyscy winni być razem z Rodziną Strażnika Przechowującego Kielich. Tak było napisane w starym Prawie Wielkiej Księgi, którą pozostawili w Sakriversum.

Guntram nie zważał na hałas, głosy, nawet na swoją siostrę, która stała tuż obok niego. W tym całym zamieszaniu: Wolfram i Guntram byli jak dwie ciche wysepki, połączone pomostem myśli. Nikt nie zauważył, że w tym momencie Guntram dostąpił zaszczytu wtajemniczenia, które jak dotąd było udziałem tylko niewielu członków Rodzin.

Mistrz 'Wolfram przekazał mu historię swojego ludu...

*

W połowie piętnastego wieku lud Wybranych składał się z dwunastu Rodzin, których wszyscy członkowie byli potomkami bliźniaków, Lancelota i Gudrun, oraz ich dzieci, wnuków, prawnuków i praprawnuków.

W roku 1318, dziesięcioletni wtedy Lancelot i Gudrun, zostali przekazani spod opieki zakonnicy pierwszego klasztoru w Altomünster siedemdziesięcioletniemu synowi budowniczego katedry.

Roland von Coburg był fantastycznym, genialnym budowniczym. Ten niezbyt wysoki mężczyzna, o długich, prawie czarnych włosach, wygiętych brwiach, jasnyniebieskich oczach i lekko ciemnowej cerze, niezmordowanie popędzał swoich majstrów. Często widziano go jak siedział aż do świtu w swej drewnianej budzie na placu budowy, przy świetle pochodni i z dzbanem pełnym rozcieńczonego miodu na stole. Bywał jednocześnie i popędliwy i marzycielski, jednakże jego pasja i cierpliwość służyły tylko jednemu celowi - katedrze. W wieku czterdziestu sześciu lat Roland mógł nareszcie pomyśleć o tym, na co przedtem nie znalazł czasu - ożenić się. Jego wybranką była Sigrid van der Meulen, wesoła, ciągle skora do przeróżnych żartów, dla poprzednich narzeczonych zbyt inteligentna, dwudziestoosmioletnia córka handlarza korzeniami i rajcy miasta, w którym miała siedzibę katedralna kapituła.

W rok później urodził się Anzelm von Coburg. Chłopiec był zdrowy i mocny, natomiast Sigrid nie podniosła się

już po porodzie z łóżka. Zmarła po czteremastu dniach. Anzelm został oddany na wychowanie; jego ojciec nie przekroczył od tego momentu progu domu, żyjąc znów u stóp katedry.

Następne niepowodzenie w życiu Rolanda przyszło w siedem lat później.

Budowa zaczęła z wolna zamierać i przez ponad rok na rusztowaniach pracowało tylko tuzin najw mniejszych ludzi Rolanda. Zaciągali mocno liny i zabezpieczali kamienne bloki, które nie zostały już wmurowane w ściany budowli. Rozpadła się również przykatedralna szkoła budowniczych.

Przez następne dwa lata Roland dzień w dzień chodził wokół opuszczonej budowy. Włóczył się po rozpadających się barakach, wchodził na połowicznie obrobione kamienne bloki, zbierał narzędzia i podczas bezsennych nocy starał się rozpoznać ewentualne błędy w swoich planach.

Przestudiował wszystko na temat powstania pierwszych gotyckich katedr.

W lecie roku 1306 Roland zdecydował się na podróż do klasztoru w Altomunster. Miały się tam znajdować odpisy zwójów ze zniszczonej ogniem największej w czasach antyku biblioteki w Aleksandrii.

Być może zaawansowany wiek Rolanda przyczynił się do przyjaznego przyjęcia go przez klasztorne mniszki. Mająca wtedy trzydzieści osiem lat ksieni Elżbieta pomagała mu w jego badaniach najlepiej, jak potrafiła. W podzięce, codziennie po niesporach opowiadała mniszkom o budowaniu katedr, francuskim dworze królewskim i nowym papieżu, Klemensie V.

Po półtorarocznym pobycie przejrzał już większość klasztornych manuskryptów.

W noc Trzech Króli roku 1307, na swoje pięćdziesiąte dziewiąte urodziny, osiągnął nareszcie upragniony cel.

Kiedy na dodatek Elżbieta podarowała mu później stary pergaminowy zwój, ujrzał w niej drugą królową Sabę.

Natychmiast zorientował się, że dotarł do celu swego życia. Stary, pełen kabalistycznych znaków dokument był dziełem, które porównywało różne rodzaje wiedzy tajemnej. Z płonącymi oczami Roland zaczął odcyfrowywać opowieści o budowie wieży Babel, o tajemnicach piramid, pędzących po niebie ognistych wozach i zatopionych miastach, w których szukano i nie znaleziono drogi do bogów.

Tej nocy Elżbieta została u Rolanda. Podczas następnych miesięcy Roland pracował jak szalony. Nie zauważył nawet zmian, jakie zachodziły w wyglądzie ksieni. Z młodzieńczą energią Roland zbierał dalsze informacje. Wysyłał posłańców, kazał przeprowadzać mniszkom poszukiwania w archiwach innych klasztorów i wiesział na ścianie swojej komnaty coraz więcej rysunków z planami...

Więści o działalności Rolanda musiały dotrzeć do książęcych dworów i do Avignonu, gdyż po niecałych dwóch miesiącach po pożogu Elżbiety do furty klasztoru w Altomunster zapukał mnich, utrzymujący iż przybył z rozkazu biskupa. Zaproponował Rolandowi kontynuowanie prac przy budowie katedry. Zapewniono już konieczne środki finansowe, podobnie jak materiały budowlane oraz dobrych majstrów i czeladników.

Prowadził prace budowlane aż do ukończenia nawy głównej. Na uroczystą mszę musiano go już przynieść w lektyce. Roland zwrócił się do kapituły z prośbą, żeby jego dwudziestotrzyletni syn Anzelm, młody, przystojny mężczyzna z talentem i radością życia swojej matki, mógł dokończyć jego przedsięwzięcie. Kapituła katedralna, po kilku dniach namysłu, zgodziła się przenieść na Anzelma von Coburga prawo dalszego prowadzenia budowy.

Na łożu śmierci Roland odebrał od swego syna przysięgę, iż nie zdradzi nikomu z żywych, że parę miesięcy wcześniej umieścił pod dachem katedry przyrodnie rodzeństwo Anzelma. Nie wtajemniczył go jednak we wszystko. Właściwą tajemnicę, wraz z Wielkim Testamentem, Roland ukrył w małym świecie Lancelota i Gudrun...

Anzelm dotrzymał przysięgi.

W trzydzieści lat później mógł już zakończył rozpoczęte przez ojca dzieło dwiema potężnymi dumnie strzelającymi w niebo wieżami zachodnimi. Katedra była skończona. Czas jej budowy wyniósł w sumie siedemdziesiąt trzy lata.

Następnego dnia po zakończeniu trwających tydzień uroczystości, Anzelm udał się na górę długimi, krętymi schodami, jak to często już uprzednio czynił, niosąc na plecach worki z solą i różnymi nasionami.

Przy wejściu do Sakriversum, jak w międzyczasie wygnańcy ochrztili swój mały świat, lśniła w świetle południowego słońca świeża pieczęć. Znajdowały się na niej łacińskie, greckie, egipskie i arabskie symbole.

Wygnańcy nie życzyli sobie, żeby ich więcej odwiedzał.

Położył swoje podarunki pod wielkim, wielobarwnie połyskującym rozetowym oknem. Długo patrzył ponad miastem, lasem i polami. Rozkoszował się ciszą, ale brakowało mu także odgłosów uderzeń dłuta, dźwięków pracujących młotków i pił. Całówka, cyrkiel, miarka kątowa i ołowianka spełniły swoje zadanie.

Ileż trudu, potu i samopoświęcenia tkwi w każdym z tych starannie ociosanych, kamiennych bloków katedry. I

Anzelma nie było jeszcze na świecie, kiedy biskup poświęcił pierwszy kamień fundamentu pod katedrę. Teraz: syn budowniczego położył po raz ostatni warstwę zaprawy w jednym z narożników rozetowego okna. Wylał na nią i wygładził zawartość jednego z zabranych ze sobą skórzanych woreczków. Drewnianym dłutem wycisnął w zaprawie szereg małych liter - pożegnanie z katedrą.

Kiedy znowu zszedł na dół, postanowił zrobić coś dla dzieci, które urodziły się w podobnych warunkach jak Lancelot i Gudrun. Pomyślał o północnej części przestrzeni pod katedralnym dachem. Słońce świeciło tam tylko wczesnym ranem i wieczorem. Nie było to miejsce do życia, ale mogło być schronieniem w czasach zagrożenia...

Podczas gdy dżuma i epidemie głodu uśmiercały jedną czwartą ludności Europy, mała rodzina pod dachem katedry powiększała się. Lancelotowi i Gudrun urodziło się czworo dzieci. Nadali im imiona Henryk, Izolda, Adelheit i Rudiger.

Za życia czwartej generacji pojawił się po raz pierwszy poważny problem żywności. Mimo iż urodziło się więcej dzieci niż w latach poprzednich, niektóre z nich umarły bardzo wcześnie. Inne były dziwnie niskiego wzrostu. Mieszkańcy Sakriversum nie wiedzieli, że również i na zewnątrz wśród chłopów zapanowała ciężka bieda. W Sakriversum życie toczyło się wolno, bez obowiązku pańszczyźnianej pracy dla pana. Założyciel rodu, Roland von Coburg i później jego syn, Anzelm, stworzyli ponad wysokim sklepieniem nawy głównej doskonałe warunki do klasztorno-chłopskiego, prowadzonego z dala od świata życia.

Żyjących w samotności zaopatrywały w światło tysiące maleńkich, oszlifowanych berylowych soczewek umieszczonych w dachu katedry. Humus z wapnia i składników zaprawy leżący na łukach sklepienia stworzył grunt pod skromne, ale jak dotąd wystarczające im zbiory. Żyli w otaczającym ich ze wszystkich stron ogrodzie - tak długo, aż ten ogród stał się dla nich za mały...

W dwa pokolenia później, w roku 1950, ojcowie Rodzin postanowili, iż od tej pory w Sakriversum będzie mogło żyć co najwyżej dwanaście Rodzin. Żadna z nich nie będzie mogła mieć więcej niż sześciu członków włączając w to dziadków i dzieci...

W pięćset pięćdziesiąt lat po wejściu Lancelota i Gudrun do Sakriversum pojawiły się nowe źródła niebezpieczeństwa, które tym razem przyszedł z zewnątrz. Miasto pod katedrą zmieniło się. W zapierającym dech w piersiach tempie ulice z roku na rok stawały się szersze, a domy wyższe. Miasto rozrastało się na wszystkie strony. Przez ulice, jak parskające wozy bojowe, pędziły sztuczne zwierzęta. Hałas dochodzący z dołu był coraz większy, a powietrze, którym oddychali Wybrani coraz gorsze.

Wysłannicy Rodzin Wybranych, wyposażeni w przeróżne tajne instrumenty i zaszczytny tytuł Strażników Świata, dniem i nocą obserwowali zachowanie Wielkich Ludzi. Meldowali o zbiegowiskach, powstaniach, wojnach i grożących inspekcjach katedralnego dachu. Także i metody Wielkich Ludzi stały się pod każdym względem bardziej subtelne i niebezpieczne. Teraz pozostały same domy, podczas gdy ludzie przestali istnieć w przeciagu jednej, jedynej nocy.

Było to przed czterdziestu jeden dniami...

Rozdział IV

Pierwsi z naczelników Rodzin wchodzili na najwyższą platformę. Guntram rozpoznał mistrza Wirnta z Rodziny Młynarzy, mistrza Bieterolfa, którego Rodzina specjalizowała się w uprawie winorośli i warzeniu piwa, i mistrza Frydryka, który ze swoją Rodziną odpowiadał za produkcję sznurów, powrozów i olinowania.

Każda z dwunastu Rodzin w Sakriversum miała swoje własne gospodarstwo z ogrodem i kawałkiem pola. Ziemię na wschód i zachód od wsi był uprawiane wspólnie. Na przestrzeni stuleci nigdy nie pojawili się w Sakriversum wędrowni rzemieślnicy, dlatego też nadal kultywowano w Rodzinach stare umiejętności...

Trzech pierwszych naczelników Rodzin podeszło do mistrza Wolframa.

- Czy to, co moglibyśmy zebrać wśród nas wszystkich wystarczy na całą drogę w górę? -zapytał mistrz Wolfram. Pozostali naczelnicy Rodzin po kolei wbili wzrok w podłogę.

- Nie! - powiedział w końcu mistrz Wirnt.

- Trzeba było wyruszyć przed tygodniem - stwierdził poważnie mistrz Frydryk. - Wtedy mieliśmy jeszcze żywność.

- Wiecie przecież, że niebezpieczeństwo jest jeszcze zbyt duże - powiedział mistrz Wolfram, potrząsając głową. - Tym razem w powietrzu wisi bardzo niebezpieczna zaraza. Wyniszczyła nie tylko Wielkich Ludzi, ale i ptaki i inne zwierzęta...

- A kto powiedział, że zabije również i nas? - zapytał mistrz Lamprecht. Mistrz Wolfram przeszył go na wskroś znowu przytomnie patrzącymi oczami.

- Czyżbyś zapomniał już o znakach, Lamprechcie? Czy zapomniałeś, że także i poświęcona, magicznie błyszcząca woda traci swoją moc, jeżeli podczas nowiu nie jest oczyszczana ołowiem?

- Wiem, co potrafi czynić ołów - odpowiedział niechętnie Lamprecht. - Już od ponad siedmiu stuleci żyjemy pod ołowianym dachem. W końcu to ołowiany pył sprawił, iż z pokolenia na pokolenie stawaliśmy się coraz mniejsi. To on płynie w naszych żyłach! Może to właśnie jest zaraza, którą możemy zwalczać tę drugą!

- Nie grzesz! - upomniał go mistrz Wolfram. - Ja w każdym razie nie pójde już na górę! Wypijemy tutaj Wino Ostatniej Łaski, bowiem nie możemy pozwolić, żeby chora krew przeniosła się na dzieci naszych dzieci...

- Ale przecież chcemy żyć! - wykrzyknął Guntram. Wszyscy mistrzowie, jak marionetki, obrócili się w jego kierunku. Protest Guntrama był tak dobitny, że nawet Wybrani, znajdujący się na najniższych piętrach rusztowań, umilkli.

Do Ołowianych Podziemi wdarły się nowe, obce dźwięki. Członkowie małego narodu jak sparaliżowani zamarli bez ruchu na wszystkich poziomach rusztowania.

Dzieci zaczęły tulić się do matek, mężczyźni i na wpół dorośli młodzieńcy chwycili za długie noże wiszące u pasów, których ostro zeszlifowane końce uformowane były na kształt sierpów. Nikt nie myślał już o tym, czy rzeczywiście powinni razem wypić Wino Ostatniej Łaski...

- Włóczędzy?

Ten okrzyk powtarzały wszystkie usta. Tego akurat nikt się nie spodziewał.

Nadeszli. Dzika, bezładna horda żołdaków wdarła się do katakumb rycząc, machając pochodniami, prowadząc za sobą zgrają pijanych kobiet.

Członkowie Rodzin pośpiesznie wciągali do góry drabiny i odcinali liny od wielokrążków, a krypta napelniała się coraz nowymi Włóczęgami.

Młody, pokracznie poruszający się mężczyzna w kolorowym kostiumie arlekina kulejąc podbiegł do jednej z lin i zaczął podciągać się w górę.

- Zaczniście ostrzyć swoje noże, bracia! - krzyknął. - Dobywajcie kos i sierpów, gdyż nadchodzi Corvay ze swymi ludźmi...

Za niosącymi pochodnie błysnęły misiurki zbrojnych Włóczęgów. Krypta napelniła się mężczyznami w wysokich botfortach, lśniących pancerzach, z rzucającymi błyskawice halabardami w rękach. Za nimi ciężko dyszało czterech tragarzy dźwigających szafranowożółty tron króla Corvaya.

- Radujcie się! Radujcie się! - piskliwie wykrzykiwał królewski błazen.

*

- Goetz oparł twarz o zimne, metalowe drzwi. Bardzo wolno nacisnął żelazną, cicho skrzypiącą dźwignię. Działała!

Wierzchnią stroną rękawicy otarł powieki. Pot szczypał go w świeżo zagojone rany na głowie. Nienawidził tego smrodu i brudu, w którym wegetował przez prawie półtora miesiąca. W innej sytuacji nie uwierzyłby, że człowiek taki jak on może przeżyć w tak okrutnych i nieludzkich warunkach.

Na moment ogamęła go fala gorąca i uczucie nagłej paniki. Jeżeli teraz się nie uda... jeżeli za stalowymi drzwiami załamie się jego nadzieje...

Z chrapliwym okrzykiem pociągnął drzwi do siebie i chwiejąc się wpadł do leżących za nimi pomieszczeń. Niebieska lampka awaryjna rzucała nierzeczywiste, upiorne światło na czyste, błyszczące, cicho pomrukujące agregaty. W ciemnoniebieskim świetle czujniki ciśnienia, woltomierz i szafka z czerwonymi dygitalowymi wskazówkami zarzyły się jak oczy jakiejś mechanicznej bestii.

Goetz von Coburg otarł twarz rękawicą i spojrzał na ledwie widoczne rury, przewody i aparaty. Zobaczył, jak pod jedną z przezroczystych płyt zaczęła przesuwać się, milimetr po milimetrze, szeroka, plastikowa taśma. Słabe światło pozwoliło mu zobaczyć to, co na taśmie rejestracyjnej rysowało piętnaście sterowanych komputerem pisaków.

Nie trzeba było być fachowcem, żeby stwierdzić, co wskazywały akurat te automaty! Goetz von Coburg mocno uchwycił się rękami krawędzi urządzenia. Poczuł, że znowu ogarnia go słabość.

Urządzenie pomiarowe ukazało mu w swój bezduszny, technicznie perfekcyjny sposób, jak naprawdę wygląda jego sytuacja. A była ona gorsza niż przez te wszystkie dni i noce, które przeżył w delirium.

Właściwie był martwy!

Goetz nie zważał na duże łyzy, kapiące na przezroczystą, plastikową płytę. Nie był w stanie zapanować nad sobą. Jak małe, rozgniecione żyjątka wodne jego łyzy rozpryskiwały się na plastikowej pokrywie - najpierw pojedynczo, a potem już całym strumieniem.

Na skraju taśmy rejestracyjnej pojawiła się data 17/04/2018 Wt.

- Czterdzieści jeden dni! - wymamrotał Goetz, kiedy z trudem wyliczył już w pamięci datę uderzenia pioruna w miasto. Nie mógł tego po prostu pojąć. Nagle poczuł, że powinien pójść do katedry, żeby podziękować Stwórcy za to, iż jeszcze żyje.

Był to zwariowany, nierealny, nie dający się niczym wytłumaczyć pomysł. Ale czyż rzeczywistość nie była w równej mierze zwariowana i w obsceniczny sposób nonsensowna?

Goetz von Coburg nie był człowiekiem, który załamywał się z powodu drobnostek. Przecież do jego przodków należeli budowniczy katedry...

Od momentu, kiedy podświadomie zaczął przeczuwać, że jego egzystencja i przeżycie było czymś więcej niż tylko sumą przypadków, zaczął widzieć siebie samego w całkiem innym świetle.

Zaczął być kimś ważnym...

Światłówki zaczęły migotać i po chwili ostre jasne światło wypełniło pomieszczenie z agregatami. Goetz von Coburg uśmiechnął się prawie niezauważalnie. Przestał już myśleć o strasznych dniach spędzonych w ciemności. W piwnicy obok znalazł łazienkę. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Ostrożnie zaczął regulować siłę strumienia wody. Pochodziła ona ze studni głębinowych, które, jak sądził, nie mogły być jeszcze napromieniowane. Namydlając się dokładnie, od czasu do czasu popijał łyk lejącej się z prysznica wody.

Po kąpieli rozpuścił w brodziku tabletki odkażające, znalezione w jednej z wbudowanych w ścianę szafek. Napił się roztworu soli i wyrzucił do mikrofalowej spalarki odpadków ubranie, w którym przeżył neutronowe uderzenie.

Ostatni prysznic sprawił mu największy ból. Zimną jak lód wodę odczuwał jak uderzenia pejcem. Ledwie był w stanie się wytrzeć. Otulony w czyste ręczniki przez blisko pół godziny siedział w kucki obok parującego brodziku.

Cały czas dręczyło go pytanie, dlaczego wtężej nie wpadł na to wyjście i sytuacji. Czy skażenie było aż tak duże, że musiał się zachowywać jak idiota? Jakie jeszcze błędy popełnił? Jako ostatni człowiek, który przeżył niosące śmierć uderzenie...

W nie zamkniętych szafkach zmarłych zecerów znalazł kilka czystych ubrań. W sąsiednim pomieszczeniu, w którym przygotowywano z ołowiu i cynku klisze drukarskie dla jego gazety, znalazł wysokie buty, rękawice i nowe fartuchy.

Nagle zawładnęło nim odczucie, że czas się zatrzymał. Miał wrażenie, jakby nieznana trucizna w jego organizmie chciała nadgonić to, czego do tej pory nie udało się jej osiągnąć. Zobaczył samego siebie, jak zastanawiając się nad czymś, stoi przed ścienną szafką.

Czarna dziura, która wypelzła z regionów wzgórza jego mózgu i posuwała się drogami nerwów ucha wewnętrzniego eksplodowała a nagle w jego sercu.

Gryzący ból, jak pejcz biczownika przeniknął błyskawicznie każdą komórkę jego ciała. Najgorzej było z lewym ramieniem.

Czyżby to był atak serca?

Jeszcze nigdy w życiu Goetz nie odczuwał tak śmiertelnego strachu. Nie odważył się nawet głębiej odetchnąć.

Przez długie sekundy strach tkwił w jego piersi jak potworny skrzep. Przypomnił sobie historię o dziwnej chorobie, na którą od siedmiuset lat zapadali poszczególni członkowie jego rodziny.

Dopiero ojciec wpadł na pomysł, żeby odnaleźć przyczynę tego dziwnego zjawiska. W ostatnich latach swego życia ciągle mówił o dziedzicznym obciążeniu wskutek napromieniowania komórek rozrodczych, które musiało mieć miejsce jeszcze przed setkami lat z powodu upadku radioaktywnego meteorytu, wybuchu wulkanu czy podwyższonej, naturalnej radioaktywności w pewnym, ściśle określonym regionie...

Goetz zacisnął zęby.

Ból stał się tak dokuczliwy, że musiał oprzeć się o skrytkę. Z wolna zapadł w ciemność.

Rozdział V

Zebrani na krawędziach piętrzących się platform członkowie Rodzin z Sakriversum w przerażeniu zaczęli się cofać, gdyż do krypty wdzierali się coraz więcej Włóczęgów.

- Spójrz tylko! - powiedział Guntram do Agnes. - Co za dzika banda!

- Przecież oni nigdy nie żyli tak, jak nasze rodziny w Sakriversum!

Guntram spojrzął z boku na siostrę.

- Czyżbyś chciała ich bronić?!

Spojrziała mu w oczy. Chwilami mężczyzna rozumiał jednak mniej niż kobieta...

W tym momencie tragarze postawili szafranowożółtą lektykę na ziemi. Wysiadł z niej Llewellyn Corvay, król Włóczęgów.

Miał na sobie brązowy, aksamitny beret z poszarpanym, brudnym bażancim piórem, rdzawo-czerwony kubrak z krótkimi, bufiastymi rękawami i rozcięte po bokach spodnie opadające w jasnobrażowe botforty. Spod przyciętej brody błyszczał w świetle pochodni ciężki, metalowy łańcuch. Choć był wyższy i mocniej zbudowany od większości napastników, wszystkie części ubrania były na niego o wiele za duże.

Zebrana wokół Corvaya banda hałasowała na najprzeróżniejszych instrumentach, krzycząc w różnych językach

i dialektach. Niektórzy potrząsali groźnie wyglądającą bronią, inni ciągnęli za sobą toboły z kocami, ubraniami i najprzedziwniejszą graciarnią. Nie było w tym żadnego ładu ani składu.

Oszołomieni Wybrani patrzyli z przerażeniem na ten chaos. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystkie figury gnomów i garbusów, najemników i knechtów zeszyły z fasady katedry, żeby zaprotestować w kryjówce Wybranych przeciwko wieloletniemu zakłęciu w kamieniu.

Guntram i Agnes spoglądali nieomal z obrzydzeniem na wychudłych mężczyzn z fantastycznie błyszczącymi, dziecinnymi oczami, tłuste baby, fałszywych mnichów, żołdaków, markietanki i wiele innych postaci ubranych jak Wielcy Ludzie z poprzedniego stulecia.

Król Włóczegów uniósł w górę mały palec lewej ręki. Zabłysnął w nim olbrzymi kamień. Stojący najbliżej umilkli, ale zamykające pochód kobiety i dzieci hałasowały nadal.

Błazen Lello natychmiast zauważył gest Corvaya. Błyskawicznie wskoczył na drabinę, której Wybrani nie zdążyli jeszcze wciągnąć. Jedną ręką trzymał się szczebla, drugą zaś wymachiwał trzymaną w niej gitarą. Hałas z wolna zaczął cichnąć.

- Oto grób, w którym ukryli się nasi mali bracia! - wykrzyknął wysokim, łamiącym się głosem. - Znaleźliśmy ich, tak jak nam to przyrzekał król Corvay. Radujcie się! Radujcie się na jego chwałę!

Potrzebowali ponad sześć tygodni, żeby odnaleźć kryjówkę Wybranych. Dzień za dniem wędrowali tajnymi korytarzami wszerej i wzdłuż katedralnych murów. Wspinali się na kręte schody, których stopnie były ich wysokości. Na widok ciemnych szczelin w murach dzieci uciekały z okrzykiem przerażenia, a mężczyźni wszechynali kłótnie. Minęła dłuższa chwila, zanim na najmniejszej, położonej najwyższej platformie, dało się zauważyć ruch. Na krawędzi, obok mistrzów Lamprechta i Henryka, pojawił się Wolfram.

- Co was sprowadza do miejsca schronienia naszego ludu?

Jego starczy głos zabrzmiał piskliwie, ale nietrudno było zauważyć w nim gniew.

- Wasz lud jest także i naszym! - krzyknął Lello. - Przed siedmiuset laty wy otrzymaliście południową stronę Sakriversum. My zaś musieliśmy głodować i marznąć na północy. Czy nie byłoby sprawiedliwie, gdybyście oddali nam teraz część waszych zapasów?

- Nie mamy już żadnych...

- Co ja słyszę? Chcecie więc, żebyśmy umarli z pragnienia i głodu, ponieważ nasi przodkowie byli podrzutkami, a nie papieską hołotą?

- Nikt tak nie twierdzi! - krzyknął w dół Wolfram. - My sami nie mamy już nic więcej...

Dym, unoszący się z wielu pochodni sprawiał, że w krypcie robiło się coraz duszniej. Zebrani na najwyższej platformie naczelnicy Rodzin Wybranych rozpaczliwie poszukiwali wyjścia z sytuacji.

- Oni po prostu nam nie wierzą - stwierdził mistrz Wimt.

- Ale my naprawdę nie mamy nic, co moglibyśmy im dać - westchnął mistrz Otto.

- Co teraz zrobimy? - zapytał mistrz Bieterolf.

Mistrz Wolfram patrzył w milczeniu w dół. Kiedy się znowu odwrócił, jego twarz przypominała pośmiertną maskę.

- Mamy jeszcze tylko jedno wyjście - powiedział wolno, dotykając drżącymi palcami czoła. - Musimy im powiedzieć, gdzie są jeszcze zapasy...

Naczelnicy pozostałych Rodzin spojrzeli po sobie nic nie rozumiejąc.

- Ale przecież...

- A jednak! - powiedział mistrz Wolfram. - Sakriversum!

Bieterolf zrozumiał jako pierwszy.

- Czy ma to oznaczać, że dobrowolnie zdradzimy im drogę do naszego świata? Po siedmiuset latach?

- Niektórzy z nich żyli zawsze po stronie północnej. Bez naszych środków bezpieczeństwa mogliby w każdej chwili odkryć drogę na stronę południową!

- Czy więc powinniśmy im z własnej woli powiedzieć o tym, co zawsze chroniliśmy przed obcymi?

Mistrz Wolfram długo patrzył na Bieterolfa.

- Tak - powiedział po chwili - gdyż na wypicie Wina Ostatniej Łaski jest za późno. Nie możemy go już przynieść...

Dwunastu naczelników Rodzin stworzyło krąg, chwytając się za ręce. W taki sposób od stuleci zawsze podejmowano wspólne decyzje. Bieterolf, a także mistrz Lamprecht wahali się jeszcze.

- Hej, wy tam na górze! - zawołał król Corvay. Hałas wzmógł się znowu. - Czy oddacie nam dobrowolnie to, co macie, czy mamy wziąć sobie sami?

Wszyscy naczelnicy Rodzin zamknęli lewe oko. Prawymi patrzyli na siebie. Ich wzrok stworzył niewidzialny symbol składający się z dwunastu linii. W punkcie przecięcia zapłonął unoszący się w powietrzu, trójkątny płomień. Znak Mistrzów Łoży.

Nigdy jeszcze ktoś nie wtajemniczony w to misterium nie zobaczył znaku Graala. A potem na ścianie katakumby pojawił się migocący napis z płomieni, którym mistrzowie ostrzegali wątpiących:

Nonfacereprotestquodpossefacerenoncred.it.

Kobiety i dzieci Włóczęgów zaczęły z przerażenia krzyżeć. Podnosili ręce do góry, chroniąc oczy przed blaskiem rzucanym przez płomień na ścianie. Nawet mężczyźni w przestraszu cofnęli się nieco. Niektórzy rzucili broń na ziemię, inni przeklinali, część zaś ukradkiem zaczęła się żegnać znakiem krzyża.

Wybrani na wyżej położonych platformach zaczęli cicho śpiewać. Mężczyźni, kobiety i dzieci pochwycili się za ręce. Wolno, krok za krokiem, zaczęli podchodzić do kręgu mistrzów.

Podczas gdy Wybrani, zapominając o niebezpieczeństwie zbliżali się do siebie we wspólnej modlitwie, król Corvay w towarzystwie swoich doradców" podchodził do drabin.

Bowiem nie samo Sakriversum, ale to, co było w nim ukryte stanowiło właściwy cel długo przygotowywanego planu Llewellyna Corvaya. Ale później nastąpiły wydarzenia, których nie przewidział nawet komputer...

Llewellyn i jego towarzysze postanowili zbadać tło pewnej prastarej legendy. Tylko dlatego, iż wiedzieli, że nie potrafią dokonać tego sami, połączyli się ze zwołanymi z całego świata potomkami gnomów, karłów i liliputów.

Początkowo mieli zamiar napaść Wybranych, żeby odebrać im ostatnie tajemnice, pielęgnowane w ich przez setki lat ukrywanym świecie pod dachem katedry.

Corvay miał nadzieję, że za pomocą przeróżnych bzdur uda mu się, krok po kroku, odkryć wszystko. W jego planie przewidziane były orgie i święta braterstwa. Tak zaplanowano pierwszą fazę. Następną miało być rozpowszechnienie na całym świecie sensacyjnych wiadomości - ze wszystkimi prawami i roszczeniami, które by z tego faktu wynikały...

W czasie pierwszych dni ani Corvay, ani jego doradcy nie mieli pojęcia, co się właściwie stało. Dopiero kiedy mężczyźni i kobiety, którzy przedtem prowadzili życie podobne do Wielkich Ludzi rozpoznali całe rozmiary katastrofy, w dusze wzburzonych Włóczęgów wdarła się straszliwym szokiem świadomość sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Pojęli, że nie mogą już wrócić do świata Wielkich Ludzi. Jako więźniowie katedry byli skazani na dole i niedole pod wodzą Corvaya i jego bandy. Oczekiwana wesoła komedia zmieniła się w tragedię. Mimo to niektórzy z nich próbowali uciec. Wróciwszy do świata Wielkich Ludzi, umierali w cierpieniach na skutek promieniowania neutronowego, które zniszczyło całe życie na zewnątrz.

A Corvay, chciał czy nie, musiał dalej grać rolę króla nieudaczników! Kiedy płomienny znak na ścianie katakumby zniknął już całkowicie, z najwyższej platformy opuściło się w dół delikatne, plecione z wikliny krzesło. Wisiało na trzech cienkich linach, pomiędzy którymi rozpięta była biała niegdyś chusta.

- Oho, to chyba propozycja rokowań! - powiedział Galus.

Kiedy Llewellyn Corvay samotnie ruszył w podróż w wiklinowym krześle, wszędzie, aż po krawędź najwyższej platformy, zwisali na linach Włóczędzy, gotowi natychmiast zaatakować, gdyby nastąpił niefortunny dla króla obrót wydarzeń.

Jednakże nic takiego się nie wydarzyło.

Corvay wysiadł z fotela i podszedł do mistrza Wolframa. Stanął jednakże tak, żeby mógł być widziany z dołu, przez swoich ludzi.

- Gdzie są klucze? - krzyknął.

- Nie mamy kluczy - odpowiedział cicho Wolfram.

- I żadnych zapasów? - zapytał równie cicho Corvay. Natychmiast zauważył, że również i tu nie ma nic, co można by było zabrać. Wybrani byli w jeszcze gorszej sytuacji niż jego ludzie. Nie mieli dosłownie nic...

- Mamy jeszcze na dole w spiżarni ostatnią butelkę wina - powiedział poważnie mistrz Wolfram. - Mielibyśmy wspólnie wypić Wino Ostatniej Łaski, ale właśnie wtedy nadeszliście.

- Dlaczego nie powracacie do Sakriversum?

- Jesteśmy za słabi.
 - Czy... czy na górze jest jeszcze żywność?
- Mistrz Wolfram pochylił głowę.
- Wiesz, jak funkcjonuje nasz świat. Jeżeli pozwolisz nam umrzeć w pokoju, dam ci moją część planu...
 - Testament? - wydyszał Corvay, opanowując się z trudem.
 - Tak, ale nie cały. Ostatnią tajemnicę musimy zabrać ze sobą do grobu!

Corvay spojrzął na krąg Wybranych. Mały lud zebrał się w całości wokół dwunastu naczelników Rodzin. Wyglądali mizernie, byli wygłodniali i patrzyli na niego wielkimi oczami. Dochodzące z dołu światło pochodni otulało ich dziwną, czerwoną poświatą.

Nieco z boku stał młody mężczyzna z dziewczyną, która wyglądała jak jego siostra.

Guntram długo wytrzymał nieruchomy wzrok mistrza Wolframa, podchodząc do niego wolno krok za krokiem. Agnes nie wiedziała, co się dzieje z bratem i też szła za nim.

„Uciekajcie przez Gołębią Jaskinię!”

Już przed setkami lat Wybrani wysyłali oswojone ptaki, które miały wybadać czy na zewnątrz panuje jeszcze zaraza.

Tym razem ptaki nie powróciły.

Guntram spojrzął ukradkiem na dziurę w murze, ciemniejącą powyżej mistrza Wolframa. Wydawało mu się nagle bardzo odległa. W tym samym momencie mistrz Wolfram podał mu błyszczący amulet, który zaciążył w ręce chłopca. Guntram zapiął obie końcówki łańcucha amuletów w pasie.

„To druga część testamentu Rolanda! Tylko ona zawiera wskazówkę dotyczącą Wewnętrznego Ołtarza...”

Na znak mistrza Wolframa członkowie Rodzin wcisnęli się pomiędzy Guntrama, Agnes i króla Corvaya.

- Do diabła, co to ma znaczyć?! - krzyknął wściekły Corvay.

- Teraz, Guntrame! - krzyknął głośno mistrz Wolfram. - Niechaj Wszchemogący będzie z wami!

Guntram głęboko wciągnął powietrze i uchwycił silnie naprężoną linę. Równocześnie inni puścili ją.

- Lina... lina - krzyczał Lello szeroko otwartymi ustami. Prawą ręką pokazywał na górę. - Oni chcą uciec...

Guntram uchwycił Agnes w talii, obrócił i zarzucił sobie na plecy.

Rozdział VI

Zimno, ciągnące od podłogi obudziło Goetza. Potrzebował dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie się właściwie znajduje. Ostrożnie wstał. Żółte, gumowe kalosze skrzypiały cicho, kiedy szedł po gładkich kafelkach piwnicy. Pomieszczenie obok było ciemne. Zamarł na chwilę bez ruchu, po czym wyłączył świetlówki w miejscu, w którym znowu stał się człowiekiem. Ciemność ciągle jeszcze go przerażała. Musi upłynąć wiele czasu, zanim przezwycięży koszmar czterdziestu jeden dni przeżytych bez kontaktu z rzeczywistością...

Zapalił światła w następnym pomieszczeniu. Wzdłuż pobielonych wapnem ścian stały stopy papieru i staromodne, drewniane palety. Obok ukośnej, pomalowanej jasnoszarym lakierem rampy stał porządnie zaparkowany żółty wózek podnośnikowy. Jego gładkie, wyostrzone widelce leżały na podłodze jak lśniące metalowe szpony.

Goetz był już na rampie, kiedy wpadł mu do głowy pomysł, żeby w pierwszej wycieczce na zewnątrz wykorzystać właśnie ów wózek.

*

Nie miał pojęcia, dlaczego opuścił znane sobie pomieszczenie wydawnictwa. Dopiero teraz, na stopniach przed głównym portalem katedry, oprzytomniał naprawdę.

Jęk hamulców wózka był jedynym dźwiękiem, jaki rozległ się w panującej wokół niesamowitej ciszy. Dookoła nie było widać najmniejszego ruchu. Słońce stało ukośnie na niebiesko-czerwonym, wieczornym niebie. Goetz przestraszył się nagle tego nierzeczywistego świata. Wydawało mu się, jakby obserwowało go oko Boga pod postacią dalekiej, żarzącej się kuli...

Z tyłu za nim, w pustych tunelach ulic wędrowały na wschód ciemne cienie katedry. Były podobne do potężnego,

przedpotopowego zwierzęcia, pełzającego ponad ulicami i dachami domów. Goetz spojrział w górę. Instynktownie szukał resztek porządku, harmonii i proporcji w kosmosie, który stracił już sens.

Łukowe przypory dachu, precyzyjnie wykute z kamienia kraty i kolumny wywierały na niego dziwny, kojący wpływ. Widział już katedry w Amiens i Kolonii, Chartres i Bambergu. Znał Strassburg, Orvieto i Reims, ale ta katedra była największa i najpiękniejsza ze wszystkich...

Silnik wózka szumiał cicho, kiedy Goetz wjeżdżał do głównej nawy katedry. Mimowolnie nacisnął pedał hamulca. W potężnych, wyrastających w górę oknach tylko w paru miejscach brakowało kilku kolorowych szyb. Całość sprawiała wrażenie, jakby nawet środkowej nie założono żadnych poziomych ograniczeń, tak, żeby mogła się wznosić wyżej i wyżej.

Cała wewnętrzna przestrzeń katedry miała około stu trzydziestu metrów długości i ponad pięćdziesiąt szerokości. Nawa główna była wysoka co najmniej na osiemdziesiąt metrów.

Goetz von Coburg bardzo wolno przejechał przez nawę środkową ku prezbiterium. Kamienie, z których zbudowane były wszystkie filary i ściany były delikatnymi spojonymi ze sobą elementami budowlanymi, nie zdradzającymi ile trudu i pracy włożono w to, żeby wyłamać je ze skały i obrobić. Mimo to rozpoznał klarowny porządek kwadratu. Łuki i zaokrąglenia nie potrafiły ukryć faktu, że fantastyczne sklepienie również i na wysokości równającej się niebu było wybudowane rzetelnie - według reguł primy, oktawy, kwinty, kwarty i tercji.

Budowniczy tej katedry trzymał się surowych reguł swojej sztuki i tylko w jednym miejscu odbiegł od zasady kątów prostych.

Do tej pory Goetz nie widział nigdzie podobnej kombinacji różnych stylów architektonicznych.

Zaparkował podnośnik tuż przed stopniami ołtarza i zszedł z niego. W wielkiej, pustej kościelnej nawie jego kroki brzmiały dziwnie cicho. Wydawało się, jakby ta przestrzeń tłumiała wszelkie odgłosy, które nie miały nic wspólnego z mszalnym rytuałem.

Przed wiekami katedra była schronieniem, ojczyzną i miejscem ucieczki, i to nie tylko dla tych, którzy żyli w jej cieniu.

Młody mężczyzna, któremu wydawało się, że jest jedynym, który przeżył wielką katastrofę, stał teraz pośrodku katedry, nasłuchując czy gdzieś nie odezwą się echa przeszłych epok.

Napawał się emanującym z katedry spokojem. Jednocześnie czuł narastający strach. Był szalony! Jak mógł tak marnować czas nie wiedząc gdzie będzie mógł spędzić następną noc?

Oczywiście, najprościej byłoby zostać w katedrze, ale czym miał się żywić? Mszalnym winem i oplatkami?

Był głodny!

Goetz obrócił się i mechanicznie poczłapał w kierunku korytarza za apsydą.

Pomieszczenie na końcu korytarza było puste, o nagich ścianach. Tylko w jednym z rogów migotała Wieczna Lampka, która prowizorycznie oświetlała pierwsze stopnie prowadzących w dół kamiennych schodów. Goetz szedł wolno dalej. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, rozpoznał daleko w dole leżącą w bezruchu na ostatnich stopniach postać. Była owinięta ciemnoczerwonym płaszczem.

Obiema rękami, które teraz wyglądały jak straszliwe szponiaste obcegi, zmarły ścisnął mocno pęk kluczy. Goetz rozpoznał wśród nich między innymi staromodne klucze do zamków zatrzaskowych i karty kodowe, którymi można było otwierać nowoczesne zamki.

Mimo iż nie miał pojęcia do czego może mu się to przydać, wyjął pęk kluczy z rąk martwego kościelnego i schował, uprzednio oczyściwszy go gazą opatrunkową.

Chciał wrócić z powrotem na górę, gdy stwierdził, że musi wy myśleć nowe, umożliwiające mu przeżycie zasady. Nie wolno mu tak po prostu przechodzić obok możliwości, które mogły oznaczać dla niego niebezpieczeństwo, ale także i szansę przeżycia!

Kościelny nie zdążył już otworzyć drzwi na dolnym końcu korytarza? Dlaczego?

Goetz uważnie przyjrzał się ciężkiemu łożowi kluczy i wypróbował kilka z nich. Przy dziewiątej próbie usłyszał cichy trzask i ciężkie, obite stałą drewniane drzwi otworzyły się. W oczy uderzyło go jaskrawe światło. Przestraszony cofnął się i na moment zamknął powieki. Później zamrugał ostrożnie i spojrział w nieoczekiwaną jasność.

Za metrowej grubości kamiennymi murami znajdowało się duże, dwunastokątne pomieszczenie. Wokół wyciszzonego do połysku stołu siedziało bez ruchu, jak przy Ostatniej Wieczerzy, dwunastu mężczyzn ubranych w kosztowne szaty, noszone zazwyczaj podczas wielkich, kościelnych świąt.

W żadnym ze zmarłych nie widać było śladów rozkładu. Kapłani nieruchomi, z nieziemskim uśmiechem na obliczach, siedzieli w ołowianej krypcie katedry przy ostatnim kielichu wina.

Goetz nie mógł zrozumieć, dlaczego żaden z dwunastu martwych duchownych w momencie śmierci nie opadł na stół. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby byli pogrążeni w modlitwie.

Goetz pchnął ramieniem jedne z na wpół otwartych drzwi, prowadzących stąd do innych pomieszczeń. Były wykonane w takich samym stylu, jak krzesła i stół w ołowianej krypcie, ale w najlepszym wypadku mogły mieć trzydzieści lat. Między płaskorzeźbami połyskiwała metalicznie zewnętrzna powierzchnia pokrywającej je pancernej płyty.

Goetz napał na masywne drzwi. Sądził, że trudno je będzie ruszyć, ale ku jego zaskoczeniu zareagowały już na pierwsze dotknięcie. Bez najmniejszego dźwięku usunęły się do tyłu.

Prawie wpadł do przyciemnionego, już na pierwszy rzut oka sprawiającego sterylne wrażenie pomieszczenia.

Miało ono około pięćdziesięciu metrów długości, dwadzieścia szerokości i niecałe pięć wysokości. Musiało się rozciągać daleko poza fundamenty katedry. Padające z ukrycia światło ukazywało długie szeregi regałów, na których zobaczył konserwy. Aż mu zaburczało w żołądku, kiedy odkrył ten olbrzymi skarb. Wahając się, wziął z regału jedną z puszek.

Wzmocniony rosół z klopsikami, delikatnie przyprawiony białym winem Chateau de Chassagne-Montrachet, witalizowany. ŻELAZNA RACJA wykonana według Euronormy.

Drżącymi palcami zerwał pasek włączający samoogrzewanie konserwy. Znalazł gdzieś łyżkę ze sprasowanego rzepplastiku. Z trudem otworzył gorącą konserwę. Kiedy mu się to w końcu udało, zapach wina doprowadził go prawie do szaleństwa.

Długo i dokładnie dmuchał na każdą łyżkę zupy. Łyk za łykiem chleptał gorący rosół. Z gorąca i od zapachu wina zaczęło mu cieknąć z nosa.

Musiał usiąść i plastikowa łyżka wyslizgnęła mu się z ręki. Wziął puszkę w obie dłonie. Pierwszy raz w swoim życiu chleptał i mlaskał przy jedzeniu. Wolno żuł miękkie klopsiki, wypluwając kawałki przypraw na podłogę. Czuł, jak coraz bardziej ogarnia go zmęczenie.

Ostatni łyk wypił już z zamkniętymi oczami, a potem oparł się na boku, wypuścił puszkę z rąk i zasnął.

Rozdział VII

Kiedy nadeszła noc, bezruch który przez długich siedem tygodni paraliżował miasto z wolna zaczął opuszczać jego mury. Podczas gdy Goetz von Coburg spał w piwnicy z zapasami żywności, w mieście zaczęły się budzić nowe siły, podobnie jak to się stało w Angkor Vat i innych miastach, które nieoczekiwanie straciły swoich mieszkańców.

W Ołowianych Podziemiach katedry Włóczędzy spędzili wszystkich członków Rodzin Wybranych do krypty Alchemików, każąc im usiąść na kamiennej posadzce. Ponad nimi piętrzyło się drewniane rusztowanie piramidy z poszczególnymi platformami podobnymi do spalonych miast antyku, na murach których późniejsze pokolenia budowały wciąż nowe osiedla. Ludzie żyjący w zamkniętych kulturach przyzwyczajeni byli do swoich siedlisk - nawet jeżeli były one niepewne i niebezpieczne...

Corvayowi powróciła już pewność siebie. Dym pochodni zacerwienił mu białka oczu. Jego ręce, tak samo jak i innych, splamiła krew.

Król Llewellyn Coryay mógł mieć powody do zadowolenia ze swego triumfu. Zwycięstwo nad starzejącymi się naczelnikami Rodzin Wybranych umocniło znowu jego pozycję. Poza niektórymi z doradców Corvaya nikt nie przeczuwał, że było to pyrusowe zwycięstwo. Dzięki niemu Włóczędzy zabrali małemu, gotowemu na śmierć narodowi nadzieję na wspólny, spokojny koniec. Być może ci, co nie przeżyli tej krótkiej gwałtownej walki, wyszli na tym lepiej niż inni, których czekało teraz pragnienie i głód.

Ludzie Llewellyna układali stos. Rozbijali stoły, ławy i sprzęty domowe. Z żądy zemsty, tkwiącej głęboko w ich sercach nie chcieli zostawić nic, co by przypominało złote lata ludu Wybranych.

- Spalić zabitych - brzmiał rozkaz - a potem w górę, do Sakriversum!

Poza dwojgiem młodych Wybranych nikomu nie udało się opuścić podziemi przez Gołębią Jaskinię. Włóczędzy musieli szukać teraz innych dróg i dlatego potrzebowali tych, którzy przeżyli.

Guntram przewraca! się w półśnie z boku na bok, jęcząc w koszmarze. Jego lewa ręka ześlizgnęła się z piersi siostry. Przytulił się do jej ciepłego, miękkiego ciała, nasłuchując jak wzdycha we śnie. Nagle oprzytomniał. Dopiero po chwili zorientował się gdzie jest. Mrużył oczy w blasku porannego słońca. Dawno nie widział już jego światła.

To przebudzenie było jak ponowne przyjscie na świat. Przerazające godziny ucieczki poprzedniego dnia i nocy należały już do przeszłości. Chciał zapomnieć, jak pokonywali z Agnes ciemne stopnie, na które od czasu do czasu padała tylko jaśniejsza smuga światła. Teraz i Agnes obudziła się.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała cicho, jeszcze trochę senna.
- Pokonaliśmy ponad sto stopni.
- Tak mało?

Pochylił się nad nią i pocałował jej ubrudzone czoło. W tym momencie wiedział już, że nie marzy o niczym innym, jak zostać z nią pewnego dnia na zawsze. Wyglądała jak delikatna, przybrudzona lalka z białego kamienia. Jej gęste, jasne jak pszenica włosy były splątane, miała zapadłe policzki i wychudłe ręce i nogi.

Ale na pewno już niedługo będzie się śmiać i spojrzy na niego swoimi jasnymi, błyszczącymi oczami.;

Agnes w swojej porannej niewinności była bardzo piękna.

- Gdzie jesteśmy?
- Jeżeli Bóg nam pomoże, pojutrze możemy już być w Sakriversum!

*

Długi wąż pozbawionych nadziei ludzi był rozciągnięty tak bardzo, że pierwsi pokonali już pięćdziesiąt stopni, podczas gdy ostatni dopiero opuszczali schronienie w Ołowianych Podziemiach.

Wielu członków Rodzin Wybranych po prostu nie było w stanie iść. Inni protestowali biernie przeciwko zaczynającej się niewoli, udając martwych. Ale tylko niektórym udało się naprawdę umrzeć...

Wszędzie, wzdłuż tajemnych korytarzy, które znali tylko niektórzy członkowie hordy Corvaya, rozgrywały się straszne tragedie. Zmuszano rodziców, żeby pozostawiali na wpół wygłodzone dzieci w zimnych, brudnych kaverbach w murze. Siostry i bracia, przeznaczeni od dawna dla siebie, gubili się w złomowiskach zalegających nigdy nie używane schody i korytarzach między murami katedry.

Jeżeli ktoś był jeszcze w stanie płakać, robił to w ciszy.

Corvay bezlitośnie realizował swoją zasadę eliminacji - kto nie mógł iść dalej, był przesłuchiwany. Wypytywano go o przyszłe zajęcia w Sakriversum, badano kurczenie się mięśni, stan uzębienia i pracę serca, a potem pędzono dalej jak bydło na rzeź albo odrzucano.

Mimo iż oba narody miały podobną historię, odróżniały się nie tylko panującymi wśród nich stosunkami społecznymi, ale także i etyką.

Wybrani od początku stworzyli Rodziny, które zapewniały ochronę i bezpieczeństwo ich wspólnocie. Żyli w wewnętrznym pokoju dopóty, dopóki zewnętrzne wydarzenia nie położyły kresu ich izolacji.

U Włóczęgów tego rodzaju więzy już nie występowały. Od setek lat łączyli się w watahy tylko z powodu wspólnych czy indywidualnych interesów. Byli odludkami, nieufnymi jak szakale; karłami, które walcząc o przetrwanie, chciały od czasu do czasu dopaść tłustego kąska.

Włóczędzy znali świat, wiedzieli, że zawsze istniało coś więcej niż tylko Sakriversum. Jako odrzucone i wyśmiewane przez Wielkich Ludzi monstra nauczyli się podłości. Wiedzieli, kiedy należy uderzyć i kiedy wycofać z powrotem do dziury. Przekleństwo ciążyące na nich dotknęło ich zdecydowanie boleśniej niż spokojnych Wybranych.

Teraz nadszedł czas, w którym nagromadzone w nich zło i zale zaczęły rozładowywać się w sposób gwałtowny i brutalny...

Kiedy więc na dziewiętnastym stopniu schodów mistrz Wolfram umarł cicho na rękach swojej córki Matyldy, Włóczędzy, którzy spędzali więcej czasu w miastach niż pod dachem katedry, zaczęli ryczeć z wściekłości.

Wieść o śmierci Wolframa przemknęła lotem błyskawicy przez wąskie korytarze i dotarła do Lella siedzącego na czterdziestym stopniu. Błazen Corvaya natychmiast zaintonował szyderczą pieśń. W parę minut później także i Llewellyn Corvay dowiedział się o śmierci naczelnika Rodziny Alchemików.

- Musimy go wziąć ze sobą! - powiedział po krótkim zastanowieniu ochryplym, stanowczym głosem.
- Jeden z jego doradców, Hector, splunął pogardliwie na stopnie schodów.
- Po co? Co masz zamiar począć ze zwłokami tego starego człowieka?
- On jest symbolem...
- On był symbolem!
- I właśnie dlatego zabieramy go ze sobą!
- Trupa?
- Nie! Człowieka, który według praw Wybranych powinien być przez trzy dni po śmierci wystawiony przed Domem Świętej Księgi, żeby jego dusza miała czas przygotować się do pożegnania z żywymi - odpowiedział niechętnie Corvay. - Musisz się jeszcze dużo nauczyć, Hektorze! I to na dodatek bardzo szybko!
- Doradca Corvaya potrząsnął głową.
- Czyżbyśmy mieli przejąć ich obyczaje? - zapytał ironicznie. Corvay zmrużył oczy.
- Być może pewnego dnia będziesz marzył o tym, żeby wiedzieć więcej o prawach tego ludu. Idziemy do ich świata, a nie naszego, pamiętaj o tym!
- Pochód znowu ruszył w górę. Dawni artyści zawieszali na stopniach sznurowe drabinki, akrobaci rozciągali liny i sieci ponad szczelinami w murze. Silni, muskulami mężczyźni wdrapywali się na ciągle nowe występy w stromych, odprowadzających wodę deszczową rynnach, wciągając za sobą na wpół dorosłe dziewczęta. Huśtając się na linach, chwytali je w ramiona i podrzucali z ochryplym okrzykiem dalej w górę.
- Nikommu nie przeszkadzało, że od czasu do czasu któraś z dziewcząt zniknęła, wciągnięta do najbliższej niszy.
- Inni zwisali jak ludzkie nietoperze z kolejnych stopni. Zawiązywali pętle lin wokół korzeni chwastów i stwardniałych ptasich odchodów, które jakimś cudem dostały się między mury.
- Droga do Sakriversum była długa, bardzo długa...

Rozdział VIII

Goetza obudziły straszliwe jęki. Był to jego głos. Śniła mu się jakaś stara, dziecinna piosenka, którą próbował zaśpiewać.

Jego myśli po obudzeniu podobne były do baśniowych, fantastycznych obrazów, rytmicznie rozszerzających się i kurczących.

Kompletnie rozbity wstał i rozprostował kości. Musiała mu się śnić cała masa szalonych rzeczy!

Położył się znowu i spróbował zastanowić. To dziwne, że możliwość przeżycia znalazł właśnie w katedrze, tym relikwie przeszłości, świadczącym o siedmiu stuleciach „postępu” w fałszywym kierunku...

Z wysokości katedralnych wież na pewno można znaleźć drogę ucieczki z miasta. Tylko jeden raz w życiu był na kościelnej wieży, ale to było piętnaście lat temu.

Przypomnił sobie, że katedry nigdy nie były tylko budowlami, przestrzenią, ale i drogą prowadzącą do ołtarza. Ale tym razem nie tam chciał dotrzeć. Szukał wejścia do wież.

Lewe drzwi były zamknięte. W prawych, tuż obok Wiecznej Lampki, znajdował się stary zamek, a tuż ponad nim mrugający kwadrat elektronicznego zabezpieczenia.

Goetz zdziwił się i po chwili przypomniał sobie klucze, które zabrał martwemu kościelnemu. Wyciągnął je z kieszeni spodni.

Pierwsze cztery próby nie dały żadnego efektu. Próbuąc piątego klucza, usłyszał cichy trzask. Coś zaszumiało za okratowanym otworem obok drzwi, a następnie rozległ się odgłos jakby przewijanej taśmy magnetofonowej.

Goetz mimo woli odsunął się na bok.

Usłyszał cichy, jednostajny dźwięk, a następnie monotonny głos powiedział:

- Podaj swój kod osobisty!
- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy, jeden - dwa - zero - trzy... - wyszeptał automatycznie Goetz von Coburg. Od dawna już nie słyszał swojego głosu. - GVC jako oznaczenie indywidualne.
- Niewidzialny kontroler zamruczał, zatrzeszczał i zapisał.
- Jest pan protestantem?

Goetz skinął potakująco głową.

- Czy jest pan protestantem? - powtórzył głos.
- Tak.
- Dziennikarz?
- Tak.
- Chwileczkę...

Goetz nieswojo, w skrępowaniu rozejrzał się na wszystkie strony. Wiedział, że rozmawia z końcówką komputera, a jednak to przesłuchanie drażniło go.

To wszystko było zwariowane - właściwie absurdalne! Musiał czekać w pustym mieście, gdzie poza nim nie było żadnego człowieka, żeby jakiś tam, dawno już nikomu niepotrzebny system kontrolny, sprawdził jego tożsamość!

Protestant czy katolik! Jakie to miało teraz znaczenie?

Nie było już ludzi, którzy z jakichś tam irracjonalnych powodów mogliby rozbijać sobie o to głowy. Tylko systemy kontrolne nadal istniały. Ludzkość nie zdążyła ich po prostu wyłączyć...

- Proszę wybaczyć, panie von Coburg - powiedział głos ze ściany obok drzwi do wieży. - Oczywiście ma pan specjalne zezwolenie!

Goetz zaskoczony spojrzął na głośnik.

- Specjalne zezwolenie?

- Naturalnie. Przed panem, jako nadburmistrzem, stoją otworem wszystkie drzwi...

Goetz roześmiał się cicho. W tym momencie drzwi od wieży otwarły się automatycznie do wewnątrz.

- Proszę wejść!

Z opuszczonymi bezwładnie rękami wszedł do wnętrza wieży. Jej schody były już bardzo wydeptane. Do pierwszej platformy naliczył ich dwanaście. Jak żołnierz wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i wszedł na następne dwanaście schodów. Znowu zwrot i następne dwanaście stopni. I znowu dwanaście i znowu...

Dwieście dziewięćdziesiąt pięć... dwieście dziewięćdziesiąt sześć... dwieście dziewięćdziesiąt siedem...

Goetz zatoczył się i oparł o kamienną ścianę. Pulsowanie krwi w skroniach było jak uderzenia młotem. Wyszuszone gardło wydawało chrapliwe dźwięki, kolana drżały z osłabienia. Z trudem pokonał jeszcze dwa czy trzy stopnie.

To był jednak za duży wysiłek dla jego schorowanego ciała!

Goetz wbił palce w szczeliny między ceglami. W ten sposób dotarł do następnego podestu.

Trzechsetny stopień!

Jeżeli każdy ze stopni mierzył dwadzieścia pięć centymetrów, osiągnął teraz wysokość nieco ponad siedemdziesiąt pięć metrów.

To musiało wystarczyć.

Wszedł jeszcze wyżej, aż do okiennego otworu. Okno na wieży nie było oszklone.

Miasto sprawiało wrażenie rozciągającego się po horyzont wulkanicznego pola. W setkach miejsc wzbijały się w górę dymiące gejzery, przerywane jedynie snopami płomieni, podobnych do średniowiecznych ognisk, które miały odpędzić zarazę. Pomiędzy nimi widział jednak i dzielnice, w których w ogóle się nie paliło - były jak samotne wyspy na morzu samozniszczenia.

Choć wyglądało to dziwnie, ak właśnie w płonących dzielnicach ulice lśniły jakby były zalane wodą. Goetz nie potrafił tego zrozumieć. Dlaczego pali się właśnie tam, gdzie pękły wodociągi? Nie zdawał sobie sprawy, że to właśnie wysoka temperatura spowodowała ich rozerwanie.

Spojrzał na miasto ponad potężnym dachem katedry. Podświadomie przypomniał mu on parsifalowskie zamczysko Graala.

Patrząc na katedrę prawie zapomniał o leżącym w dole mieście. Promienie zachodzącego słońca otulały filary, wieżyczki i przypory murów w ciepłe, czerwonawobiałe światło.

Ta harmonia nieporównywalnie pięknej budowli oddziaływała na jego duszę jak kojąca maść. Uśmiechnął się uszczęśliwiony i wchłaniał w siebie ten spokój na wysokościach. Najchętniej pozostałby tu na zawsze...

Ale to nie było możliwe.

Goetz musiał wrócić na dół, dopóki mógł jeszcze zobaczyć stopnie. Do piwnicy obok krypty droga była daleka. Od chwili, kiedy rozlewająca się przed portalem woda odcięła mu powrót do miasta, musiał pozostać w katedrze.

Odwrócił się od okna i ostrożnie, wymacując nogami stopnie, zaczął schodzić w dół. Jego ręce ślizgały się po zwietrzałych kamieniach w murze. Było jeszcze wystarczająco jasno, żeby mógł dostrzec leżącą u podstawy masywnej wieży puszkę po coca-coli i resztki czekolady.

Z wrodzonego poczucia obowiązku chciał pozbiierać te odpadki. Schylił się i wyciągnął ręce. W tym samym momencie doznał szoku.

Dotknął czegoś miękkiego, co z cienkim, przerażonym okrzykiem prześlizgnęło się ponad krawędzią muru. I Goetz zatoczył się pod ścianę i uderzył prawym ramieniem o kamienie muru. Poczł, jak kolana załamują się pod nim i upadł do przodu.

Dwa cienie, niewiele większe od gołębi, które chwycił kiedyś ze swoim ojcem w kościelnych wieżach, uciekły y bok. Ale one nie wyglądały jak gołębie, tylko jak... jak ludzie!

Poczł na plecach lodowaty chłód przerażenia. Jednocześnie na czoło wystąpił mu zimny pot. Zaczł cały drzeć.

Karły!

Mini-ludzie!

Ludzie...

Mógłby krzyczeć ze szczęścia! Był mu zupełnie obojętne, jakiego byli wzrostu. Znalazł ludzi, żywych ludzi!

- Nie... nie uciekajcie!

Wyciągnął rękę do przodu. Za późno!

Cienie już zniknęły. Goetz na czworakach podczołgał się do okna. Te karzelki wyrzuciły puszkę po coca-coli i naderwały resztki opakowania czekolady.

Goetz pomknął z powrotem schodami do góry. Dwu czy trzykrotnie wychylił się na zewnątrz. Nagle zobaczył ich - biegli małym pomostem w kierunku dachu katedry. To byli rzeczywiście ludzie...

W pewnej chwili zobaczył nawet na moment twarz jednego z nich. Była to twarz dziewczyny z wielkimi, szeroko otwartymi ze strachu oczyma.

Goetz oparł się plecami o mury wieży. Jego serce biło jak oszalałe.

Ludzie!

Przez głowę zaczęły mu przelatywać dziesiątki pytań. Skąd się wzięli? Co robią tu na górze? I dlaczego są tacy mali? Mogli mieć najwyżej dwadzieścia centymetrów wzrostu!

Cięzko dysząc połknął tabletkę uspokajającą.

A może jednak nie był ostatnim człowiekiem?! Od czterdziestu trzech dni nie natknął się na żaden znak życia. Ludzie zapewne nie zginęli równocześnie, ale nigdzie nie spotkał śladów, mogących świadczyć o tym, że ktoś przeżył moment pierwszego uderzenia.

Musiał znaleźć dowody!

Ostrożnie zaczął schodzić w dół. W minutę później dotarł do miejsca, w którym poprzednio odpoczywał. Puszka po coca-coli była przewrócona.

Goetz schylił się i zobaczył, że papier, w który była zawinięta tabliczka czekolady został pocięty na wiele małych skrawków. W miejscu gdzie odgryzł kawałek czekolady, nie było już widać śladów jego zębów. Obok leżał mały medalion z łańcuszkiem.

Ostatni dowód znalazł raczej przypadkowo. Był to strzęp materiału o długości około siedmiu i szerokości trzech centymetrów. Nie był własnością Goetza...

Podniósł ostrożnie strzępek i zbliżył go do oczu. Materiał wyglądał jak jedwab, ale po chwili zauważył małeńki, delikatny wzór i misternie wykonane frędzle na jego krawędziach. Goetz w życiu nie widział doskonalszej roboty. To, co uważał za jedwab, pachniało trochę jak wełna. Oświetlił materiał swoją lampką. Poszczególne nitki były cieńsze od pajęczyny.

A więc jednak tu byli!

Goetz przysiadł na gzymsie okna. Patrząc na ciemnoczerwone ognie w mieście, odczuwał wdzięczność.

Nie był już sam!

Czy ich odnajdzie, to już całkiem inna rzecz. Ale teraz wiedział, że poza nim istnieli jeszcze ludzie, którzy przeżyli katastrofę...

Goetz schował resztę czekolady, wstał i zaczął schodzić w dół. W drodze zaczął śpiewać, początkowo trochę chrapliwie, potem coraz weselej i głośniej.

Rozdział IX

Guntram i Agnes nie znaleźli wejścia do Sakriversum. Położyli się spać dopiero późno w nocy, kompletnie wyczerpani wspinaczką.

Guntram ciągle miał przed oczyma spotkanie z przedstawicielem Wielkich Ludzi. Nie zobaczył wtedy zbyt wiele.

Guntram i Agnes potrzebowali dużo czasu, żeby ochłonąć ze strachu. Uciekli wtedy tak przerażeni, że dopiero o wiele później Guntram zauważył, że zgubił gdzieś drugą część testamentu. Musiało to nastąpić, gdy napelniał skórzane bukłaki brązowym sokiem z puszek.

Guntram wiedział, że Wielcy Ludzie posiadali przyrządy, których nie znał. Jeżeli poza tym, który ich odkrył, istnieją jeszcze inni uratowani z katastrofy, to Agnes i on muszą jak najszybciej powrócić do wnętrza katedry.

Guntram wyciągnął swój nóż. Jednym mocnym uderzeniem rozbił kolorową szybę przy dolnej krawędzi prawdziwego rozetowego okna, jako że na zachodniej fasadzie wielkiej katedry były jeszcze trzy inne...

*

Goetz von Coburg pochylił się nad ekranem komputera. Po dziesięciu godzinach snu i posilnym śniadaniu z kawy, jajecznicy na szynce, kefiru i rożków z marmoladą pomarańczową poczuł się silny i nabrał ochoty do dalszego działania.

Wpatrywał się nieruchomo w ekran i nagle poczuł strach przed wiedzą, która mogła się stać jego udziałem. Gdzie i jak mógłby ją spożytkować?

Czuł się jak głodny, który nagle wszedł do sklepu delikatesowego. Wystarczyło wyciągnąć rękę i wziąć to, co przez długi czas było dla niego nieosiągalne.

Po raz pierwszy w życiu mógł otrzymać wszystkie informacje, zawarte w bezdusznym, ale obiektywnym banku pamięci -bez filtrów, cenzury i ograniczających szablonów myślowych...

Prawda!

Jako ostatni człowiek miał prawo dowiedzieć się, co doprowadziło do katastrofy! Chciał wiedzieć, dlaczego jako jedyny pozostał przy życiu i dlaczego nikogo więcej nie było...

Nikogo?

Wilgotną, spoconą dłonią włączył program. Na ekranie pojawił się komunikat o przerwaniu programu. A w kilka sekund potem przemknęło wezwanie:

ALARM... ALARM... ALARM... DO WSZYSTKICH WSPÓLPRACOWNIKÓW Z LEGITYMACJĄ DZIENNIKARSKĄ OBJĘTYCH POGOTOWIEM! PROSZĘ NATYCHMIAST ZAMELDOWAĆ SIĘ W STUDIUM INFORMACYJNYM!

Goetz nie miał pojęcia o co tu mogło chodzić. Przez chwilę ogamęło go znowu to dziwne podniecenie, które czuł już wielokrotnie.

Z całych sił starał się nie zacząć wierzyć, że prócz niego ktoś jeszcze przeżył.

Zagryzł wargi i wpatrywał się z napięciem w szybko migoczący ekran. To była znowu tylko zaprogramowana wcześniej akcja!

Na monitorze pojawił się automatycznie sterowany plan sytuacyjny, ukazujący drogę z jego miejsca pobytu do centrali informacyjnej diecezji.

Zaskoczony Goetz zorientował się, że centrum informacyjne biskupstwa znajduje się wewnątrz katedry, bezpośrednio pod ołtarzem we wschodniej części nawy głównej. Ostrożnie nacisnął umieszczoną pod ekranem zieloną płytkę zgłoszenia.

Obraz zmienił się natychmiast.

- Proszę zgłosić się natychmiast w centrali informacyjnej! - powiedział ciepły, ale jednocześnie trzeźwo brzmiący kobiecy głos o pełnym rutyny wdzianku zegarynki. - Z powodu braku personelu konieczne jest wejście do akcji kompletnego zespołu straży pożarnej. To nie są ćwiczenia! Powtarzam - to nie są ćwiczenia!

Goetz roześmiał się sucho. Choć informacja brzmiała surrealistycznie, wiedział, że rzeczywiście nie były to ćwiczenia... Wtedy przypomniał sobie nagle te dwie małe istoty, które widział wczoraj wieczorem w wieży.

Ludzie!

Dlaczego nie pomyślał o nich przez cały ten czas? Czyżby wzbraniał się uznać trwającą mgnienie oka sytuację za prawdziwą? Czy też nie chciał, żeby oprócz niego istniał ktoś jeszcze?

Co się z nim działo?

Z jednej strony z całego serca miał nadzieję odnaleźć innych ludzi, z drugiej zaś obawiał się tego.

Goetz nie odważył się nawet kontynuować rozpoczętej myśli. Wychowano go na outsidera. Powiedziano mu, że jest potomkiem warstwy elitarnej, która miała niewiele wspólnego z masami. Pod tym warunkiem zaakceptował rolę strażnika wartości i tradycji, które nie pasowały już do nowych czasów.

Nagle wydał się sobie reliktem, skamieliną, która przeżyła, ponieważ nigdy nie była zmuszona przystosowywać się do czasu, w jakim żyła. Teraz jednakże warunki się zmieniły. Nie było już żadnych innych ludzi, od których musiałby się odsuwać.

To właśnie on przeżył!

Nie wolno mu było więcej milczeć, cierpieć i oplakiwać przeszłości! Los wyznaczył mu miejsce, w którym po raz pierwszy dościsnę go wyzwanie!

Teraz musi dowieść, że jest w stanie przyjąć odpowiedzialność za siebie samego, za spadek po ludzkości i za przyszłość, o której wiedział mniej niż o przeszłości...

Kiedy uświadomił sobie to wszystko, odczuł głęboki wstrząs. Wrażliwość na ból odrzucił jak pustą powłokę. Przez jego ciało popłynął strumień nie wykorzystywanej przez długi czas wewnętrznej energii. Filtry i maski, cały ten balast obcych opinii i kaftan bezpieczeństwa długo uprawianego tak zwanego „normalnego zachowania” odpadły jak martwa kora od pnia drzewa, które nagle poczuło w sobie nową siłę.

Goetz pochylał się, na chwilę opuścił bezwładnie ręce i natychmiast wyrwał je ku górze. Wywrzeszczany przed ołtarzem proakrzyk zabrzmiał pod wysokim sklepieniem katedry jak potężne, bojowe zawołanie.

Uśmiechnął się uszczęśliwiony, zanim zaczął obchodzić ołtarz. Obiema rękami oparł się na ścianach wąskiego zejścia, prowadzącego w dół korytarza. Stopnie były wydeptane i wąskie.

Kiedy otworzył pierwsze obite stalową blachą drzwi, w nozdrza uderzył go słodkawy zapach kadzidła. Za drugimi drzwiami doszła do tego woń śmierci.

Goetz zamrugał oczami, oślepiiony sterylną jasnością centrali informacyjnej. Okrągłe pomieszczenie podzielone było na wiele płaszczyzn. Jak w magazynie, po jednej stronie znajdował się korytarz wypełniony tysiącami rekwizytów, po drugiej zaś piętrzyły się tarasami plany zdjęciowe. Na każdym z nich znajdowało się coś w rodzaju wolno wiszącego bocianiego gniazda z podnośnikiem kamery i długim ramieniem z mikrofonem na końcu. W centrum każdej z tych ośmiornic lśniło szklane oko.

W pierwszym momencie Goetz nie bardzo wiedział gdzie się znajduje. Potem jednak odkrył niezwykłych, sprawiających wrażenie mumii kapłanów-reżyserów, wiszących z w przeźroczytach gondolach. Byli ubrani w brązowe habit, a n* ssyjach mieli staromodne stopery, zawieszane na kolorowych wstęgach.

Ostrożnie zaczął wspinać się po drabinach i stopniach. Wybrał nieobudowaną drogę, prowadzącą do blokowni, skąd, jak olbrzymie liście, zwisały setki kulis. Dokładnie naprzeciw tarasów dostrzegł w ścianie wiele otworów. Wchodząc wyżej odkrył soczewki i projektory, urządzenia laserowe i aparaty, których jeszcze dotąd nie widział. W połowie wysokości hali na jego drodze znalazła się wbudowana ambona, wyglądająca jak szklany pomost dowodzenia. Ostrożnie posunął się do przodu tak daleko, żeby mógł zajrzeć do środka.

To musiało być właściwe centrum!

Pomieszczenie miało około czterdziestu metrów kwadratowych. Goetz rozejrzał się wokół. Jeżeli się nie mylił, centrala znajdowała się dokładnie pod ołtarzem.

Wszedł po pięciu stopniach i zbliżył się do wypukłych na zewnątrz drzwi. Nie widać było żadnej klamki ani uchwyty. Jedynie cienki promień światła wskazywał ledwie widoczną szczelinę, w którą wsuwało się przepustki.

Goetz włożył do niej swoją kartę identyfikacyjną. Przez chwilę nic się nie działo, potem szczelina wypuła jego kartę kodową z powrotem, a drzwi otworzyły się automatycznie, znikając w wybrzuszeniu ściany.

Jak pancerne drzwi sejfu, pomyślał Goetz.

Przed nim znajdował się wąski, oświetlony matowoniebieskim światłem korytarz. Goetz pokonał ostatnie stopnie

i wszedł tam. Z małych otworów w sklepionych ścianach dochodziło go dziwne brzęczenie. Podświadomie wyczuwał, że jest obmacywany przez ukryte systemy kontrolne.

Krok za krokiem posuwał się do przodu. Na końcu korytarza czerwono żarząca się zaporą świetlna ochraniała wewnętrzne dojście do centrali.

Nie wiedział co powinien teraz zrobić. Z pęku kluczy, który znalazł w Sali Dwunastu zdjął jeden, zrobił parę kroków do tyłu, wcisnął głęboko powietrze w płuca i rzucił mały metalowy kluczyczek przez czerwoną zaporę ze światła.

Na sekundę zrobiło się ono jaśniejsze.

- Proszę się pośpieszyć! - powiedział znajomy, kobiecy głos. - Czekamy na pana!

Czerwone światło zniknęło. Jednocześnie otworzyły się przed nim ostatnie drzwi.

Rozdział X

Goetz zebrał całą odwagę. Instynktownie mocniej stawiając nogi pokonał ostatnie metry dzielące go od wewnętrznej centrali. Wchodząc poczuł, że dotarł tam, gdzie wszystko miało swój początek...

- Proszę usiąść! - powiedział kobiecy głos. Leżący na podłodze dywan był przyjemnie miękki. Pod sklepieniami ścianami wewnętrznej centrali pracowały całe baterie komputerów. Ich pokrywy utrzymane były w wytwornym, szarym tonie. Razem z gołębiego koloru dywanem i jasnymi barwnymi ścianami, całość sprawiała wrażenie przeniesionej do współczesności klasztornej celi, jednak wszystko, co na pierwszy rzut oka mogło się wydawać spartańskie, było urządzone z rozmysłem i stanowiło element harmonijnej całości.

- Proszę usiąść - powtórzyła niewidzialna hostessa. Żadna zakonnica nie potrafiłaby mówić tak chłodno, a jednocześnie głosem tak pełnym podświadomego erotyzmu...

Wolno opadł na jeden z szarych, pokrytych sztuczną skórą foteli, położył ręce na oparciu i wyciągnął nogi na podstawce.

- Bardzo dobrze! Proszę wydać teraz rozkazy! Od tej pory jest pan tu szefem...

Goetz nieruchomo wpatrywał się w drgające, migoczące światełka na ścianach. Z ukrytych schodków wynurzyło się z cichym szcękaniem kilkanaście kamer, kierując się ku niemu na swych długich, jak u ośmiomicy, ramionach. Włączyły się automatycznie i oczekiwały teraz na jego pierwsze słowa.

Do fotela, w którym siedział podjechała mała konsola, wyglądająca jak opancerzony barek na kółkach.

- * Czy mam podać na wstępie aktualne informacje, Sir? - zapytał barek tym samym kobiecym głosem.

- Tak, to znaczy... nie, chciałbym...

- Ach tak, najpierw msza!

- Nie, do diabła! - zaklął Goetz. Szary barek mimo woli odsunął się o pół metra do tyłu.

- Nie?

- Nie!

- Dziwne! To bardzo dziwne! - zamruczał robot. Obrócił się dookoła swojej osi i podjął ponowną próbę zbliżenia.

- Nie chce pan wysłuchać mszy?!

- Nie!

- Może chce pan przystąpić do komunii?

Goetz gapił się na sprawiające wrażenie uosobienia zarówno niewinności, jak i obłądki pudło. Robot chyba zauważył, że popełnił błąd. Jego autokorekcyjny system zareagował jak stado małych mechanicznych urzędników. Szczeknął cicho i nieproszony zaproponował Goetzowi drinka. Biała plastikowa tacka z wieloma zagłębieniami przesunęła się powoli ponad krawędzią oparcia fotela. Goetz niechętnie spojrział w jej kierunku.

- Scotch? Wódka? Piwo? - zapytał bojaźliwie głos automatycznego służącego.

- Sok pomidorowy! - warknął surowo Goetz.

Na barku ukazała się mała, kwadratowa serwetka z celulozy. W chwilę potem Goetz trzymał w ręku kubek z sosem pomidorowym, wódką i kostkami lodu.

- Czy zawsze reagujesz... tak bezpośrednio? - zapytał zaskoczony.

- Jestem najnowszym modelem MULTISEKRETARKI - powiedziała szara skrzynka. - Najlepsza aktualnie MUSE, pojemność 96-60-86...

- Aha - odezwał się Goetz sceptycznie obserwując rozmiary konsoli. - Co oznacza ten kod cyfrowy?

- Oczywiście zdolność zapamiętywania...

- Oczywiście! - Goetz poczuł ulgę. Przez dłuższą chwilę przyglądał się szarej skrzynce.

- Jak cię nazywać? - zapytał w końcu.

- Mów po prostu MUSE, jestem do tego przyzwyczajona. Tak zwracał się do mnie biskup i księża...

Goetz skinął głową. Ta mała, szara skrzynka była o wiele sympatyczniejsza od ekranów monitorów informacyjnych.

- Powiedz MUSE, co ty właściwie potrafisz? - zapytał.

- Co chcesz, liczyć, pisać, podawać napoje i jedzenie, organizować, być miłą dla gości... no, wiesz co mam na myśli!

- Tak - odparł Goetz, mimo że nie wiedział.

- Koordynuję twoje terminy spotkań, rezerwuję loty i zawiadamiam, że jesteś chory, gdy nie masz ochoty pojawić się na jakiejś konferencji. Jako szef, masz potwierdzone na piśmie prawo do obsługi o kategorii przysługującej managerom pierwszej klasy.

, - No dobrze - stwierdził Goetz i wygodnie rozparł się w fotelu. Po tylu dniach samotności rozkoszował się tym, że znowu miał partnera do rozmowy - nawet jeżeli był to elektroniczny koncentrat sekretarki.

- Co wiesz na mój temat? - zapytał nagle.

- Wszystko - odpowiedziała szara skrzynka.

- Wiesz kim jestem, skąd pochodzę i co się stało? -

Tak.

- Wiesz to naprawdę?

- To pytanie jest właściwie obraźliwe dla MUSE!

- Proszę o wybaczenie - powiedział zmieszany Goetz.

- W porządku!

Goetz długo wpatrywał się w szare pudło. Chciałby wiedzieć, co ukrywa się w jej wnętrzu. MULTISEKRETARKA musiała być czymś w rodzaju siostry, matki i kochanki jednocześnie. W każdym razie konstruktorzy tego komputera musieli się intensywnie zajmować psychologicznymi warunkami ramowymi jego późniejszego działania.

- Ja... ja nie jestem stąd - powiedział Goetz ostrożnie.

- Wiem - odpowiedziała miękko MUSE.

- Przychodzę z zewnątrz i jak sądzę jestem ostatnim człowiekiem.

- Jest to zrozumiałe, ale jednocześnie i nieco aroganckie!

- Czy ma to oznaczać, że istnieją jeszcze inni ludzie?

MUSE milczała.

- Jeszcze jednego drinka? - zapytała po chwili.

Goetz potrząsnął głową.

- Powiedziałaś, że musisz odpowiadać na moje pytania!

- Tak, ale są pewne problemy kompetencyjne...

- Gdyby tylko o to chodziło! - mruknął Goetz. - Czy nie wiesz, że posługując się tą zwariowaną logiką banków pamięci, jestem nie tylko twoim szefem, ale i nadburmistrzem, członkiem rad nadzorczych wszystkich przedsiębiorstw należących do miasta, przewodniczącym senatu i co tam jeszcze jest...

- Tak, tak - odpowiedziała MUSE i zakolysała się lekko, co wyglądało na potakujące skiniecie głowy. - To głupia sprawa, ale mój problem jest tylko częściowo związany z obowiązującymi przepisami...

- Rozumiem! Chodzi o katedrę?

- Nie, to nie ma z nią jako budowlą, nic wspólnego.

- A więc z przepisami kościelnymi? - mruknął pytająco Goetz.

- W pewnym stopniu, tak!

- No dobrze. Spróbujmy wobec tego inaczej. Zadam ci teraz jeszcze jedno pytanie, okay?

- Dobrze.

- Czy... na podstawie posiadanych informacji można ze stuprocentową pewnością wykluczyć istnienie ludzi czy podobnych do nich istot, które przeżyły katastrofę?

- Tej możliwości nie można wykluczyć!

- A więc mogą istnieć inni ludzie oprócz mnie?

Obraz na ekranie zgasł.

- A więc nie jesteś gotowa odpowiedzieć mi na pytanie dotyczące egzystencji innych ludzi?

- Nie!

- Mógłbym użyć mojej karty kodowej, żeby zmusić cię do odpowiedzi...

- Jeżeli chcesz to zrobić, wiedz, że MUSE nigdy nie da się zmusić do czegokolwiek! W twoich oczach jestem być może tylko zbiorem mikrochipów i jednostek pamięci. Ale mam również świadomość, która nauczyła się odpowiedzialności. Raczej więc się zniszczę, niż wbrew swojemu przekonaniu podam informacje, które nie są dla ciebie przeznaczone!

- Ależ to szaleństwo! Poza mną nie istnieje nikt, komu mógłby zaszkodzić fakt, że mi wszystko powiesz.

- Ludzkość!

Goetz poczuł na plecach zimny dreszcz. Nie był w stanie walczyć z niezrozumiałą logiką MUSE.

A może ona miała na myśli...

Serce zakolało mu jak zwariowane. A więc chyba się nie mylił - gdzieś istnieli jeszcze ludzie... mierzący półto-rej pędzi, chowający się w zakamarkach katedry!

Brak odpowiedzi czasami też mógł być odpowiedzią! A ci, którzy kiedyś zaprogramowali MUSE musieli o tym siedzieć...

Goetz wydał wargi. Przez dłuższą chwilę z mieszanymi uczuciami wpatrywał się w szarą skrzynkę.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Zostawmy więc na chwilę ten problem w spokoju i zapomnijmy o pytaniu, dotyczącym dalszego istnienia ludzkości...

I - Nie wściekaj się tak od razu - przerwała mu MUSE - masz dużo rzeczy do zrobienia...

- Mogę sobie nawet wyobrazić, co... - stwierdził Goetz sarkastycznie. - Programy ogłupiające muszą w końcu iść dalej realizowane, nawet jeżeli nie ma żadnych słuchaczy! Zapewne moim zadaniem jest teraz gaszenie pożaru w mieście, kierowanie do akcji robotów naprawczych i zaprowadzanie porządku...

- Tak jest!

- A co ma być potem? Mam się może zatroszczyć o kwiaty w oknach i ustawić na święta choinki na ulicach?

- W tej chwili nie jest to takie ważne - odpowiedziała MUSE. - Najpierw należy założyć karmniki!

Goetz spojrział na szarą skrzynkę kompletnie zaskoczony.

- Dlaczego karmniki?

- Nie możesz sam sobie odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie, brakuje mi do tego paru układów!

- Musimy pomóc naturze - zaczęła wyjaśniać cierpliwie MUSE. - Szkody ekologiczne na skutek wybuchu tyłu jmb są o wiele cięższe od zniszczeń budynków. Niektóre miasta są jeszcze całe, nawet jeżeli sięgające aż po jonoerę promieniowanie uczyniło je niemożliwymi do zamieszkania na wiele, wiele lat. Życie zostało zniszczone nawet najbardziej oddalonych wioskach. A jeżeli ktoś przeżył do dnia dzisiejszego, umrze zanim znowu spadnie śnieg...

- A więc w innych miejscach żyją jeszcze ludzie?

- Nie! Musisz w końcu pojąć, że nigdy nie spotkasz mężczyzny, kobiety czy dziecka, należącego do twojego ganuku. Ze wszystkich, którzy mogli przeżyć, jesteś jedynym, który podczas pierwszych tygodni po katastrofie nie działa słońca.

Oboje milczeli, dopiero po dłuższej chwili Goetz zapytał:

- Po co więc mam zakładać karmniki? Zwierzęta są przecież też zatrute.

- Niektóre z nich przyzwyczały się do trucizny przez dziesiątki lat, mogą więc znowu się pojawić!

- Masz na myśli szczury? - zapytał Goetz ze wstrętem.

- Również motyle, ptaki i chrabąszcze. Ptaki, jako gatunek pochodzący od jaszczurów przetrwały miliony lat, zawsze też było więcej rodzajów insektów niż innych istot żywych. Stąd też powinniśmy uczynić w tym mieście nowego życia.

- Przy pomocy karmników?

- Tak. Naturalnie również i w innych regionach istnieją nie zatrute magazyny żywności, ale tylko tu jest ktoś, kto może je w sposób celowy wykorzystać.

Goetz skinął głową. To, co powiedziała MUSE było w jakimś stopniu logiczne. A mimo to nie mógł pozbyć się podejrzenia, że będzie działać na podstawie dawno ustalonego planu.

Musiałoby to mieć coś wspólnego z małymi ludźmi, których widział przelotnie wieczorem poprzedniego dnia na dachu katedry.

- Gdzie zaczniemy? - zapytał.

- Tutaj.

- Co to znaczy?

- Weź żywność z magazynu za kryptą głównego ołtarza i wynieś ją na zewnątrz. Zwróć uwagę, żeby znalazły się tam ziarna zboża, nieluszczony ryż, mleko w proszku i suszone owoce. W każdym karmniku, który zbudujesz musi znajdować się zbiorniczek z wodą. Nie zapomnij o patyczkach z tłuszczem i nasionach trawy dla sikorek! Ziemia potrzebuje teraz nie zatrutych nasion...

MUSE wiedziała dokładnie, co mówi. Goetz zaczął się zastanawiać, czy nie bierze udziału w czymś, czego nie jest w stanie ani pojąć, ani ocenić.

- Gdzie powinienem zacząć?

- W wieżach katedry!

Goetz ze zdziwieniem uniosł osmalone brwi.

- Gnieździły się tam dawniej ptaki o dużym zasięgu lotu.

Skinął głową. Było to wyjaśnienie, które przemawiało mu do rozsądku.

- A więc dobrze! Ale przyjdę tu znowu. I wtedy będę chciał dowiedzieć się więcej. Nawet dużo więcej...

MUSE wydała z siebie dźwięk, który przypominał śmiech rozradowanej, młodej dziewczyny.

Rozdział XI

Noc była długa i chłodna. Znużeni Wybrani zasnęli przytuleni do siebie we wnękach muru, a Llewellyn Corvay rozstawił kilku zaufanych Włóczęgów na straży.

Sam zasnął przy małym ognisku na najwyższym, jaki osiągnięto do tej pory stopniu. Parę schodów niżej płonęło kilka ognisk, przy których siedziały straże. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn dorzucał drewna do przygasającego żaru. Ogień zaczynał trzaskać, znowu pojawiały się płomienie, oświetlające nieskończony labirynt stopni, korytarzy i znajdujących się w murach katedry jaskiń.

Odór przypalanego tłuszczu i zwęglonych kości wisiał jeszcze w powietrzu, kiedy tuż poniżej obozu Corvaya z tłumem wędrowców podniosła się młoda dziewczyna.

Przeniknięta chłodem Nancy McGowan wciągnęła ramiona, a potem w cieniu stopnia rozgrzewała się tak długo, aż jej wytrenowane ciało odzyskało sprawność. Przypominała sobie wygłodniałe spojrzenie Wybranych. Tak samo, jak i paru członków jej grupy potajemnie wetknęła kilkorgu dzieciom resztki pieczonego mięsa nietoperzy.

Miała świadomość, że w tej chwili nie jest w stanie nic przedsięwziąć przeciwko Corvayowi i jego bandzie. Poza nią i jej przyjacielami było jednak jeszcze kilka osób, które nie zgadzały się z metodami nowego króla.

Nancy ukradkiem przemknęła do jednego z bocznych korytarzy. Tam, gdzie przedtem myśliwi odkryli drogę do jaskini z nietoperzami, leżała na ziemi na wpół wypalona pochodnia. Minęło kilka minut, zanim Nancy udało się ją zapalić.

Podniosła płonąca pochodnię wysoko nad głowę i oświetliła przyległe korytarze, szczeliny i załomy w murach, żeby, zdając się na los szczęścia, szukać własnej drogi na górę. Wiedziała, że graniczy to z szaleństwem, ale po prostu nie mogła iść dalej z Corvayem i jego ludźmi.

Wierzyła, że stać ją na to samo, co zrobiło tych dwoje młodych Wybranych, którzy uciekli od Corvaya jeszcze na dole, w podziemiach...

Nie miała żadnego tajnego planu, ani nawet jego połowy, ale zawsze była dobra z geometrii.

Nancy wzięła pochodnię w zęby i jak kot przeskoczyła przez szczelinę w murze. Jej palce wpiły się w wystający po drugiej stronie kamień. Podciągnęła się do góry, odwróciła na plecy i zaczęła czołgać dalej, co jako wytrenowanej akrobatce, przyszło jej z łatwością.

Kiedy straż Corvaya wszczęły alarm była już wysoko ponad poziomem, na którym zatrzymał się pochód. Nancy chciała poznać tajemnicę, tkwiącą w Sakriversum zanim położy na niej łapę Corvay. Zrobiło jej się zimno. Wtuliła głowę w ramiona, ale i to nie przyniosło jej większej ulgi. Od czasu, kiedy przed siedemnastu laty została sklonowana, ciągle odczuwała poczucie winy wobec swojej siostry-matki. Eksperyment stworzenia w laboratorium duplikat słynnej śpiewaczki nie udał się. Prawdziwa Nancy McGowan pewnego pięknego wiosennego poranka rzuciła się z mostu Golden Gate, kiedy pokazano jej jak wygląda duplikat.

Nancy McGowan II odpowiadała we wszystkich szczegółach swojemu biologicznemu prototypowi, ale jak dotąd żaden z laureatów Nobla nie był w stanie wyjaśnić dlaczego Nancy numer dwa miała tylko dwadzieścia centymetrów wzrostu...

Przypominała sobie okrutne, bezosobowe lata spędzone w świetle laboratoryjnych lamp. Nawet jej sny były bez przerwy nagrywane i analizowane. Podobnie jak wychowana sztucznie kilkadziesiąt lat wcześniej dziewczynka o imieniu Loise, Nancy McGowan II nigdy nie była sama. Wielu interesowało się nią z powodów naukowych, ale nikt nie pozwolił jej pobawić się z małym psem i nie pokazał, jak piękne mogą być dmuchawce.

Nancy pomyślała o gorzkich latach spędzonych w kabarecie. Była cudownym dzieckiem, monstre en miniature!

Była wdzięczna Corvayowi gdy przed pięcioma laty zabrał ją z laboratorium. Traktował ją dobrze i był dla niej jak ojciec. Dopiero kiedy stała się kobietą, zrozumiała, że Corvay przez cały czas wykorzystywał ją bez skrępowań.

Przez ostatnie trzy lata opierała się każdej próbie Corvaya, który chciał ją znowu sobie podporządkować. Razem z Janem i kilkoma przyjaciółmi założyli swoją własną grupę. To były piękne lata...

Nancy wstała i spojrzała w przestrzeń nad ciągle jeszcze płonącym miastem. Na horyzoncie pojawiły się nowe, bijące w niebo słupy dymu, wyglądające jak trąby tornado. Dalekie plamy lasów były czerwonoawoszarze i bez życia. Również w domach i na polach peryferii miasta nie było widać śladu życia.

Nancy obróciła się i pomyślała o parze młodych Wybranych, którzy uciekli z podziemi, żeby samodzielnie dostać się do Sakriversum. Jak daleko mogli zejść?

Spojrzała na stromy, leżący naprzeciw niej dach katedry. Gdzieś tam, pod jego majestatycznymi płaszczyznami i po mistrzowsku wykutymi w kamieniu ozdobami musiało znajdować się Sakriversum!

Nancy przeciągnęła się i zrobiła kilka przysiadów. Lekkim krokiem zbliżyła się do stopni prowadzących ze środkowej części południowej wieży katedry dalej do góry. Mimo że była spragniona i głodna, rozpierała ją siła i chęć życia.

Zaczęła szybko wspinać się po stopniach, sprytnie wybierając skróty ponad występnymi murów, starając się przy tym pozostawać jak najdłużej w promieniach ciepłego słońca.

Ostrożnie podciągnęła się wyżej. Białe cirusy na jasnym błękitnie nieba wskazywały jej drogę. Wisiały jak jasne boje ponad dachem katedry.

Musiała się dostać do rozetowego okna. Tam, tylko tam, mogło się znajdować wejście do Sakriversum.

*

Dzieci przestały już płakać. Zwisiały bezwładnie w ramionach matek, dźwigających je stopień za stopniem wciąż w górę. Niektóre z nich miały już gorączkę z pragnienia i głodu.

Również i dorośli całkowicie stracili poczucie czasu. Szli z trudem, wlokąc za sobą nogi. W nieregularnych odstępach czasu, z góry dochodziły odgłosy uderzeń w bębny. Długa kolumna rozciągnęła się tak bardzo, że nikt już nie wiedział, gdzie znajduje się jej początek, a gdzie koniec.

Noga za nogą Włóczędzy i Wybrani wspinali się coraz wyżej. Z każdym krokiem, który przybliżał ich do Sakriversum oddalali się coraz bardziej od właściwego celu. Nie wierzyli już w sukces.

Pragnienie, głód i męczarnie tej wspinaczki rozmyły różnice pomiędzy tymi tak różniącymi się od siebie narodami. Kobiety Wybranych pomagały Włóczęgom, którzy wyczerpani odrzucili już swoją broń. Młodzi Włóczędzy wciągali za sobą na strome stopnie naczelników Rodzin Wybranych. Daleko z tyłu kolumny pozostawali na ziemi kompletnie wyczerpani członkowie obu narodów...

Lello jako pierwszy odkrył skład żywności. Natknął się niespodziewanie na stos worków, toreb i pakunków wielkości człowieka.

Ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, wbił swoją pochodnię w szczelinę w murze i pochylił nad nieoczekiwanym skarbem. Obie ręce zanurzył w jednym z worków i po chwili wpełchnął do ust jednocześnie dwa ziarna ryżu.

Slonina! Suszone owoce! Woda...

Lello żarł i pił jak zwierzę. Napełnił wszystkie kieszenie i dopiero potem zaalarmował innych.

- Woda! - rozległ się okrzyk błazna. Był on jakby sygnałem wyzwolenia. Z ciemności wyłaniali się obok siebie Włóczędzy i Wybrani, słończeni, zataczając się ze zmęczenia. Niektórzy podpierali się i pomagali sobie nawzajem, inni czekali, zanim do oświetlonej dziennym światłem części wieży dotrą kobiety i dzieci.

W nieoczekiwanej jedności i porządku wszyscy zgromadzili się wokół stosu z żywnością, jakby wiedzieli, czego się od nich oczekuje przed dotarciem do Sakriversum.

Rozdział XII

Domy wyglądały ciągle tak jak wtedy, gdy je opuszczali. Na głównej ulicy wsi zmieniło się równie mało, jak na wąskich ścieżkach pomiędzy poszczególnymi polami, rozciągającymi się powyżej wiejskiej drogi. A mimo to wszystko było inne.

- Nad kominami nie widać żadnego dymu - powiedział Guntram.

- ... ale za to czuć dymem - wtrąciła Agnes.

Przed nimi rozciągał się mały świat południowego Sakriversum. Wzgórza wznoszące się przed i za wsią sprawiały wrażenie ukośnego rzędu równomiernie uformowanych fałd ziemi. Na północy piętrzyły się w górę strome, ponure góry, oddzielające od siebie oba istniejące pod dachem katedry światy.

Guntram i Agnes wzięli się za ręce i patrzyli w milczeniu na rzędy krzewów winorośli, wsłuchując się w ciszę pod katedralnym dachem. Odczuli nagle dziwny lęk przed zejściem w dół.

Poniżej winnic pola rozciągały się aż do drogi i dalej po obu stronach wsi, aż po wilgotną mroczność Bagna Błędnych Ognia, które stanowiło południową granicę Sakriversum.

- Pięć pagórków na Zachodzie, cztery na Wschodzie - zaczęła wyliczać cicho Agnes. - Wzgórze Dębów, Rzepy, Fasoli, Prosa i Koniczyny...

Guntram uśmiechnął się:

- ...a dalej Wzgórze Lnu, Pszenicy, Jęczmienia i Owsa - uzupełnił wyliczankę Agnes, którą wszyscy Wybrani znali już od dziecka. - Nie zbliżajcie się nigdy do Trupich Gór, Torfowiska i Wysypiska Odpadków! Unikajcie jaskiń w Diabelskim Murze i Bagna Błędnych Ognia, gdzie zalega trująca mgła!

- Czujcie Dom Księgi, wasz pierwszy dom - dopowiedziała cicho Agnes. - Nie rańcie lipy! Nie łamcie kwiatów i nie przeganiajcie zwierząt w dolinach! Unikajcie tego, co jest wam obce i bądźcie szczęśliwi z tym, co posiadacie!

- Tako rzecze Roland, który stworzył Sakriversum.

Oboje mówili w swoim prastarym języku. Osobliwa melodia słów pasowała do spokojnego światła zachodzącego słońca, którego ostatnie promienie ciągle jeszcze były kierowane do Sakriversum przez tysiące berylowych soczewek.

Rodzeństwo upajało się spokojem i harmonią małego świata. Złączeni dłońmi, nie mogli się nań napatrzeć po długich dniach spędzonych w ciemnościach Ołowianych Podziemi katedry.

Guntram osłonił oczy ręką. W miękkim, wielokrotnie wzmocnionym świetle zachodzącego słońca mógł jeszcze zobaczyć stojący wysoko ponad wsią dom mistrza Albrechta.

Stary Albrecht zawsze był dziwakiem. Jako jedyny mieszkał samotnie, bez rodziny, poza obrębem wsi. Uważany był za pustelnika i strażnika Domu Księgi. Od wielu lat wychodził ze swojej pustelni przy Diabelskim Murze tylko w soboty, żeby przynieść ze wsi żywność. Wtedy spędzał noc w Domu Księgi. W czasie tych nocy naczelnicy Rodzin spotykali się z nim i omawiali sprawy, które wydarzyły się przez cały tydzień w wiosce.

- Czy widziałas na dole mistrza Albrechta? - zapytał Guntram swoją siostrę. Agnes uniosła w zdziwieniu brwi, pomyślała przez chwilę i potrząsnęła głową.

- Musiał chyba zostać w Sakriversum...

Guntram skinął potakująco głową.

- Zranił się w kolano i został.

Trzymając się za ręce wbiegli do małego lasu. Pomiędzy drzewami było już ciemno. Świeże liście i ziemia pod ich stopami pachniały aromatycznie.

Po chwili zostawili las za sobą. Z ziemi wyrastały pierwsze pędy groszku, fasoli i wyki. Tylko na Wzgórzu Koniecznym nie było jeszcze nic widać.

Kiedy dotarli do wsi, zwolnili kroku. Znowu nagle poczuli zmęczenie i wyczerpanie. Nigdy jeszcze nikt z Wybranych nie powrócił w tak szybkim tempie do Sakriversum.

- Jak tu cicho, Guntramie!

Położył rękę na jej ramieniu, a Agnes przytuliła się do niego.

- Nie mogę już dalej! - powiedziała cicho.

Dotarli właśnie do pierwszego z domów. Stał w małym ogrodzie, otoczony rabatami żółtych i ciemnoniebieskich bratków, dmuchawcami i krzewami malin.

- Tu mieszka mistrz Lamprecht - powiedział Guntram otwierając furtkę do ogrodu przed domem. Wielkie drewniane wrota bielonego wapnem domostwa stały otworem. Weszli do środka.

W wysokiej sieni było ciemno. Po prawej i lewej stronie znajdowały się, jak we wszystkich domach we wsi, kojce dla kur i miejsce dla kóz i świń. Dalej z tyłu mieściły się sypialnie dzieci i dziadków. Otwory widniejące w połowie wysokości sieni prowadziły do spizami. Na końcu sieni rzeźbiony ganek oddzielał kuchnię od głównej izby. Przez otwarte okno wpadało jeszcze tyle światła, że Guntram i Agnes mogli zobaczyć talerze, patelnie i garnki wiszące nad otwartym paleniskiem. Miało ono otwór wentylacyjny, który podczas deszczowych dni zamykany był gładko heblowaną drewnianą zasuwą.

Guntram puścił rękę Agnes i wbiegł do kuchni. Zaskoczył go panujący w niej nieporządek. Na ziemi leżały połamane drewniane talerze, na ścianach i krzesłach widać było resztki kielbasy i plamy z wina.

Obrazu dopełniały poprzewracane garnki.

Guntram zmarszczył nos.

- Strasznie tu czuć - stwierdziła Agnes, zawsze bardziej praktycznie nastawiona do życia, niż brat. Podbiegła do kranu z wodą, znajdującego się w ścianie obok pieca i odkręciła go.

Początkowo połała się z niego tylko brązowa, ziemista ciecz. Agnes wsunęła pod strumień przeguby dłoni. Po chwili z kranu zaczęła płynąć woda czystsza i zimniejsza. Długimi, łapczywymi łykami piła ją wprost ze złożonych dłoni.

- Spróbuj, Guntramie, smakuje wspaniale...

Obłata twarz i śmiejąc się zlizywała krople z kącików ust. Guntram zastanawiał się tylko przez chwilę. Pragnienie było silniejsze od nieufności. Pił tak długo, aż ugasił pragnienie. Po chwili zmęczeni opadli na rzeźbioną, drewnianą ławę.

- Chciałbym wiedzieć, co się tu wydarzyło! - sapnął Guntram. - Żadna rodzina nie mogłaby zostawić swojego domu w takim stanie.

- To na pewno nie był nikt z naszych - powiedziała Agnes, wycierając sobie twarz rękawem.

- Myślisz... że mogli to być Włóczędzy?

- Tak.

- Ale kiedy... kiedy mogli tu być?

- Po naszej ucieczce.

- A dlaczego nie zostali?

- O to musisz się zapytać osobiście króla Corvaya!

Guntram wstał powoli. Dopiero teraz naprawdę poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Z trudem wspiął się po drabnie do sypialni rodziców. Kiedy zszedł z powrotem na dół, potrząsnął w zamyśleniu głową.

- Tam też wszystko jest poprzewracane i porozlewane. Nawet z rodzinnej biblii pozostały tylko strzępy...

Agnes znalazła trochę suchej kielbasy i kawałek twardego, wyschniętego chleba.

- Chodź, zjedz coś! - zawołała do Guntrama. - Nie będziemy mieli światła, akumulatory przestały funkcjonować.

Guntram potknął się o potłuczone tafelae i porozrzucane wszędzie meble.. Ma chwilę zatrzymał się przed drewnianą szafą, stojącą po drugiej stronie pieca, w której przechowywano domaswe akumulatory, bursztynowe płytki oraz izolowany pakulem i pszczelim woskiem ołowiany drut.

Każdy dom we wsi miał swoją szafę z akumulatorami, a kiedy wieczorem kobiety przedły weinę, kręcąc kołowrotkami, jednocześnie poruszały bursztynowymi płytkami, którymi ładowane były baterie. Jeszcze przed setkami lat nad brzegiem potoku zainstalowano dziwną aparaturę, która funkcjonowała podobnie jak okrągłe bursztynowe płytki. Przewody prowadziły od niej do Domu Księgi, a stamtąd do Diabelskiego Muru i Bagna Błędnych Ognia.

Guntram i Agnes niezbyt znali się na tym wszystkim. Te rzeczy należały do tajemnic naczelników rodzin...

Rodzzeństwo tak długo żuło stary chleb, aż się stał miękki i słodkawy. Od czasu do czasu odcinali z pęta cienki kawałek suchej kielbasy. Guntram przyniósł ze spiżarni za kuchnią pół dzbanka wina. Już po drugim kubku poczuł, że krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach.

- Jutro zrobisz ci sałatkę z młodego mleczu - powiedziała Agnes.
 - A ja zobaczę, czy wyrosła już pokrzywa - przytaknął Guntram. - Dawno nie jedliśmy nic świeżego.
- Rozmawiali ze sobą jak stare, zgodne małżeństwo. Zauważywszy to, mimowolnie się roześmieli.
- Masz ochotę popływać? - zapytała Agnes.

Guntram westchnął.

- Dawno już nie byłem tak najedzony!
- Ach, przestań, do jeziora wcale nie jest daleko! Poza tym, musimy się w końcu wykapać...
- No dobrze! Wygrałaś!

Agnes uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. Radośnie, lekkim krokiem podbiegła do szafy stojącej między kuchnią a sienią, wyciągnęła z niej grubo tkane ręczniki, lniane spodnie i bluzę dla Guntrama, a dla siebie kolorową spódnicę, białą bluzkę z szerokimi rękawami, stanik, szydełkowane pończochy i dużo, dużo wstążek.

- Chodźmy już! - krzyknęła.

Cicho protestując, Guntram podniósł się z ławy. Agnes poczekała aż podejdzie, wzięła go za rękę i poprowadziła na zewnątrz.

Słoneczne promienie miały już kolor żarzącej się czerwieni;

Oboje potrzebowali tylko paru sekund, żeby dotrzeć do leżącego poniżej wiejskiej lipy jeziora. Rozebrali się szybko, chwycili za ręce i wbiegli do wody. Śmiali się, pluskali i przyskaki wodą, a potem popłynęli dalej, na sam środek jeziora, pozostawiając za sobą brudny osad złych dni.

Kiedy wrócili, słońce w Sakriversum już zachodziło. Tak jak stali, nadzy, opadli na ciepły piasek na brzegu. Dyszeli jeszcze ciężko, głaszcząc się wzajemnie po mokrej skórze i nagle zauważyli, że jest to coś więcej niż zwyczajna miłość siostry do brata.

Pod dachem katedry zapadła noc, a Guntram i Agnes znaleźli w końcu to, czego tak długo pragnęli!

Znaleźli swój dom. Było to najpiękniejsze ze wszystkich uczuć...

Rozdział XIII

Goetz obudził się w środku nocy. Potrzebował dłuższej chwili zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Po długim, ciężkim dniu, w którym w całej katedrze założył piętnaście karmników, wrócił całkowicie wyczerpany.

MUSE gdzieś zniknęła.

Goetz odrzucił koc. Pościel na łóżku pachniała świeżymi owocami. Ze zdziwieniem zauważył, że spał nagi.

Dotknął ostrożnie wolno gojących się ran na ciele. W niektórych miejscach skóra była gładka i pozbawiona owłosienia.

Wziął prześcieradło i owinał go wokół ciała. Ktoś musiał go wieczorem wykapać pod prysznicem, a potem natrzeć jakąś gojącą ranę maścią.

Czyżby MUSE?

Goetz potrząsnął głową. Ta mała, stworzona do usług czarownica musiała maczać w tym swoje mechaniczne łapy. Kto wie, co może z nim jeszcze zrobić!

- Przeklęte bydło! - mruknął pod nosem.

Zaczął krążyć po centrali w poszukiwaniu nowego ubrania. W jednej z szaf ściennych znalazł opakowaną w plastikowe woreczki bieliznę, opatrunki przeciw oparzeniom, lekarstwa i pokryte warstwą metalu peleryny, chroniące przed różnego rodzaju opadami radioaktywnymi.

PIERWSZA ZASADA - OBNIŻ POZIOM RADIOAKTYWNOŚCI! - JOD - JOD!

Napis na wewnętrznej ścianie szafy wydawał się w tej sytuacji Goetzowi nad wyraz głupi. Mimo to rozzerwał aluminiową folię opakowania z tabletkami. Połknął dwie małe, brązowe pigułki i popił dwoma ampułkami wody mineralnej.

Z drugiego pudełka wyjął podkoszulkę i kalesony. Włożył bawełniane skarpetki, odciął z wiszącego na ścianie zwoju parę wysokich butów ze sztucznej skóry i podał swoje dane Chemicznemu Krawcowi, wybijając je jednym palcem na klawiaturze komputera.

Po chwili z otworu urządzenia wysunęły się mocne jeansy, długa, metalicznie połyskująca koszula i wodoodporna kurtka z przyszytymi roboczymi rękawicami.

Goetz ubrał się i zatrzasnął pokrywą w ścianie. Minęła właśnie druga w nocy. Przez parę minut wałęsał się bez celu po centrali. Podszedł do ekranu. Raczej przypadkiem znalazł w archiwum film, który prawdopodobnie został zarejestrowany na krótko przed katastrofą.

Na ekranach monitorów przesuwwały się plastyczne, trójwymiarowe obrazy, pokazujące w różnych zbliżeniach dość podobne do siebie sceny.

Jakość obrazu nie była zbyt dobra. Goetz próbował rozjaśnić go trochę, ale wtedy rozplywały się kontury. Nagle w lewym górnym rogu ekranu pojawiła się data:

03.03.2018, 13.30 GMT

Pięć dni przed nadejściem tej strasznej nocy!

Na ekranie widniał dość dziwnie wyglądający krajobraz.

Goetz wstrzymał oddech, patrząc na wspaniałe, wielokrotnie powielone na ekranach ujęcia.

Wież wyglądała jak model zbudowany według planów genialnego, nieznanego mistrza. Powyżej i poniżej szarej drogi stało po sześć domków. Razem z ogrodami i wąskimi pasami pola za każdą z posiadłości zamykały się w zaostrzonym prostokącie.

Prawie w samym środku wsi stała kwadratowa, dwupiętrowa budowla z dachem w kształcie piramidy. Mury tego budynku sprawiały wrażenie starszych i prymitywniej wykonanych niż w małych domkach.

Powyżej budowli, ponad małą zaporą pieniał się strumień, wypływający z ciemności nad stromo wspinającymi się w górę polami. Pluszcząca rzeczka obmywała rosnące na brzegach paprocie, kopytniki i trzciny, płynęła po lśniących kamieniach i przed dotarciem do starego domu rozdzielała się na dwa potoczki. W środku wsi, koło drogi, znowu płynęła jednym korytarzem. Ginęła na chwilę pod mostkiem, przepływała obok lipy i wiła się dalej wśród soczyste zielonych łąk, docierając do małego jeziora.

Goetz odkrył kilka staromodnych pompowni z cylindrycznymi tłokami, funkcjonującymi, jak się wydawało, według starej zasady Archimedesesa. Teraz jednakże zamarły w bezruchu. Goetz nie mógł dostrzec urządzenia, które wprawiało w ruch tłoki pomp.

Zdziwił go również fakt, że poza kilkoma powiewającymi na wietrze gałązkami, we wsi nie widać było żadnego ruchu. Tak, jakby wszyscy mieszkańcy jednocześnie opuścili swoje domostwa...

Goetz przetarł oczy. Na monitorach widać było już tylko burzę i deszcz. Już miał zamiar je wyłączyć, gdy deszcz nad obcą wioską przestał padać tak nagle jakby ktoś po prostu zamknął śluzy niebios.

Goetz pochylił się w stronę monitorów. Setki delikatnych promieni słonecznych utworzyły kopułę jasnożółtawego światła. Woda spływała bulgocząc, a kwiaty i trawa znowu się wyprostowały. Domy zaś wyglądały jak świeżo pomalowane.

Pojawiły się też i zwierzęta. Było ich o wiele więcej niż przedtem.

Goetz już dawno nie widział tylu przeróżnych zwierząt. Nie miał pojęcia, gdzie robiono ten film, ale nagle poczuł wielką ochotę odnaleźć to miejsce. Życie tam musiało być piękne...

Westchnął i nadal obserwował zwierzęta.

Nagle na ekranach pojawili się ludzie.

W pierwszym momencie Goetz sądził, że pochodzą z tej wsi. Na wielu monitorach ujrzał przemoczone postacie, które, potykając się, zbiegały w kierunku domostw z położonych wyżej pól. Osuwając się i zataczając, wyłaniali się z panującej na szczytach gór ciemności.

Kamery natychmiast pokazały ich w maksymalnym zbliżeniu. Goetz ujrzał twarze, które go przeraziły, a jednocześnie wzbudziły w nim współczucie. Zobaczył w nich głód i chciwość, strach i wyczerpanie. Zanim jeszcze pierwsze, zupełnie różne od siebie grupy dotarły do leżących przy drodze domów, Goetz już wiedział, że nie była to ich wieś...

Mokre od deszczu postacie jak wilki rzuciły się na opuszczone osiedle. Pierwsi napastnicy zaczęli chwytac kury, ukrecali im glowy i pili krew. Nastepni przysysali się do kozich wymion i, wbijając zęby w sutki, pryskali na siebie

Inni - mężczyźni, kobiety i dzieci - wdzierali się do opuszczonych domów, wybijając szyby w oknach pozbieranymi z drogi kijami, palkami i kamieniami. Wyłamywali drzwi i wpadali do spiżarni, znajdujących się za czystymi, pustymi izbami.

Goetz wpatrywał się bez ruchu w te obrazy chciwości i żądzy niszczenia. Nigdy w życiu nie był głodny. Ludzie tacy jak on mieli do dyspozycji wszystko, czego potrzebowali w prawie nieprzyzwoitych ilościach. Wystarczyło parę znaków i liter, wystukanych na sensorach naręcznych komputerów, żeby zamówić każdą, dowolną potrawę. Nadmiar stał się zrozumiały sam przez się, jak woda płynąca z kranu czy światło we wszystkich pomieszczeniach. Potem nadmiar zamienił się w przesyt.

Goetz dopiero teraz zaczął rozumieć dlaczego świat, w którym wyrastał, musiał być krzywym odbiciem rzeczywistości...

Obcy we wsi wyrzucali na drogę wszystko, czego nie mogli wziąć ze sobą. W wielu miejscach powyżej i poniżej drogi dymiły ogniska. Martwe zwierzęta, zabite przez barbarzyńców w pierwszym szale głodu, spływały strumieniem w kierunku jazu.

Kamery uchwyciły spojrzenie martwych świńskich oczu, szły śladem nieżywego ptasiego ciała, niesionego falami ku brzegowi... WSKAZÓWKA REŻYSERSKA: PRZESKOK W CZASIE - W 24 GODZINY PÓŹNIEJ.

Ekran zamigotał. Sceny na monitorach gwałtownie się zmieniły. Obcy już całkowicie opanowali wioskę. Z wielu kominów w niebo wzbijał się dym.

- Chodźcie ludzie, chodźcie! - pisał co chwilę jakiś głos. - Opuszczajcie Sakriversum, bo może się to źle skończyć...

BLOKADA MATERIAŁU ARCHIWALNEGO! DALSZE INFORMACJE SĄ PRZEZNACZONE TYLKO DLA URZĘDNIKÓW KOŚCIELNYCH!

Obraz na monitorach zgasi. Jednocześnie ściemniało światło zawieszonych pod sufitem lamp. Z wolnym westchnieniem opadły w dół hydrauliczne platformy kamer w centrum informacyjnym. Po kolei zaczęły wyłączać się poszczególne systemy.

Goetz nagle poczuł zagrożenie.

Skoczył na równe nogi i pobiegł ku wyjściu. Automat drzwiowy przestał funkcjonować. Jego głuche stuknięcie zabrzmiało jak ostatnie uderzenie skrzydeł mechanicznego ptaka.

Obok drzwi lśniła zielonkawa płytki AC-DC. To urządzenie na prąd stały zaopatrywane było w energię przez baterię selenowo-radarową. Goetz dotknął płytki opuszkami palców. Po trzech sekundach płynne kryształy zareagowały na ciepło jego ciała.

Z twardym cmoknięciem otworzyła się skrytka w ścianie obok drzwi. Goetz stracił rachubę, ile to już razy pomogły mu tego rodzaju skrytki w ścianach. Zaczęły mu się one jawić jako coś w rodzaju zaprogramowanej Deus ex machina - miłowe kamienie na drodze ku nieznannej przyszłości...

W matowym świetle skrytki stały, równo ułożone, różnego rodzaju artykuły Pierwszej Pomocy. Goetz odkrył wśród nich szpulki z drutem, plastry, bandaże, skalpele, tabletki, cały zestaw śrubociągów, ostro zakończony młotek i inne urządzenia, spryskiwacze z różnymi etykietkami i małą płytkę z zakodowanym magnetycznym tekstem.

Zabłysnął na niej napis w cyfrowym kodzie:

KLUCZ 19... KLUCZ 19...

Pęk kluczy leżał koło poduszki. Numer dziewiętnasty był małą, niepozorną magnetyczną płytką.

Goetz zdjął płytkę z kółka. Wrócił do drzwi i wprowadził płytkę do oznaczonego na czerwono otworu. Magnetyczne zamki zareagowały natychmiast wpuszczając go.

Przebiegł przez korytarz, potem obok opuszczonych platform scenicznych i opuścił centrum.

Rozdział XIV

W Sakriversum Guntram i Agnes obudzili się ze snu.

Spędzili noc na brzegu jeziora. Mimo, iż rano było chłodny, nie czuli zimna.

- Jesteśmy teraz *mężem i żoną!* - powiedział Guntram.

- Tak bez ceremonii, bez starych tańców...

- Czy to takie ważne?

Agnes spojrzała na niego, uśmiechnęła i potrząsnęła głową.

- Nie, nie, mój władco!

- Nie wolno ci tak mówić! - zaprotestował i oboje wybuchnęli śmiechem. Agnes wstała i przytuliła się do Guntrama, który otoczył ramieniem jej biodra.

- Cieszę się, że znów tu jesteśmy - powiedziała cicho. Stali na brzegu małego, spokojnego jeziora i wchłaniali w siebie ciepłe promienie słońca.

- Tak powinno być zawsze...

Guntram skinął potakująco głową, czuł jednak, że nie zawsze tak będzie. Dotarł wraz z Agnes do Sakriversum, ale co się stało z innymi? Czy również znajdują drogę? A jeżeli im się to uda, w jaki sposób będą się tutaj zachowywać?

Pomyślał o tym, co nakazał mu mistrz Wolfram - powinni chronić Sakriversum i jego tajemnicę. Ale jak?

- Chodźmy trochę popływać! - powiedziała Agnes. - Potem przygotuję śniadanie, a ty obejrysz wieś. Mamy dużo do zrobienia...

Guntram skinął potakująco głową. Oboje weszli do wody. Była chłodna i orzeźwiająca. Po kąpieli ubrali się i poszli do wsi. Nagle Guntram zbladł i stanął jak wryty. Nie dotarli jeszcze do wiejskiej lipy. Patrzył ciągle na wschód.

- Co się stało? - zapytała Agnes.

- Nasz dom!

Guntram pobiegł naprzód, o wiele szybciej niż mogła to zrobić Agnes. W końcu zatrzymał się, dysząc, z opuszczonymi bezwładnie rękami. Bez słowa wpatrywał się w ruiny. Dopiero kiedy usłyszał za sobą szloch Agnes, westchnął głęboko i przytulił ją do siebie.

- Nie płacz, Agnes! Są przecież jeszcze inne domy. Możemy mieszkać w każdym z nich.

Szli drogą przez wieś. Pomiedzy domami i ogrodami poniewierała się zepsuta żywność i na wół rozłożone szczątki zwierząt. Były to prawie wyłącznie samice...

- Dwa domy są tak zniszczone, że nie da się już w nich mieszkać - powiedział Guntram. - Inne da się naprawić. Po naszej ucieczce Włóczędzy prawdopodobnie znaleźli drogę do Sakriversum, a potem poszli za nami na dół tajemnymi korytarzami.

Agnes nie odpowiedziała. Weszli do leżącego najbardziej na zachód domu we wsi. Dziewczyna szybko trafiła do kuchni. Podłożyła drewniane wióry do pieca i podpaliła je przy pomocy swojego magnetyzmu.

Umyła się pod kranem w kuchni. W chwilę później w jednym z kociołków zaczęła gotować się woda. Na patelniach i w gankach przyskały tłuszczem kawałki boczku i dusiło się marynowane mięso. Agnes znalazła także cebulę, jabłka, suszone mięso i mąkę.

Gdy siostra gotowała, Guntram siedział milcząco przy drewnianym stole pod wychodzącym na wschód oknem.

- Chciałabym wiedzieć co naprawdę przekazał ci mistrz Wolfram.

- Tego... tego nie mogę ci powiedzieć!

Oboje przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Czyż nie jestem już twoją żoną?

Guntram zacisnął wargi. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie otrzymał prawdziwego mianowania, ale już czuł się Mistrzem Łoży - a w każdym razie był przewidziany na to stanowisko. Tak długo, dopóki mistrz Wolfram i inni naczelnicy Rodzin nie dotrą do Sakriversum, on właśnie był spadkobiercą wielkiej tajemnicy - której j jeszcze nie znał.

Nie każdy naczelnik Rodziny zostawał Mistrzem Łoży. Sześćdziesiąt Rodzin Wybranych spotykały się każdej soboty po pracy w Domu Księgi. Podczas gdy mężczyźni, kobiety i dzieci zbierali się pod lipą na łące przy jeziorze, dwunastu członków starszyny wiejskiej spędzało noc z soboty na niedzielę za grubymi murami i zamkniętymi drzwiami Domu Księgi.

Nikt nigdy nie dowiedział się, co naczelnicy Rodzin podczas tych nocy robili. W każdym pokoleniu tylko trzech spośród nich uważanych było za Mistrzów Łoży, znających wszystkie tajemnice Sakriversum. W okresie przed osta-

tnią ucieczką do Ołowianych Podziemi byli nimi mistrzowie Wolfram, Bieterolf i Wirnt.

Guntram zauważył, że Agnes dalej czeka na jego odpowiedź.

- Dopóki nie wiem co mi wolno, muszę milczeć - odpowiedział w końcu. Po raz pierwszy pojawiła się między nimi niewidzialna bariera. Oboje czuli, jak zniknęło coś z ich niewinnego, serdecznego stosunku.

Guntram pokazał przez okno na wzgórze.

- Porozglądam się we wsi. Może znajdę sposób obrony przed Włóczęgami. Poza tym muszę poszukać mistrza Albrechta.

- Przecież to teren zakazany! - krzyknęła przerażona. - Nie wolno ci iść tak daleko!

Guntram potrząsnął głową.

- Nie przejmuj się tym, Agnes! Wiem, co muszę uczynić.

Agnes czuła, że nie ma sensu mu się sprzeciwiać.

*

W tym czasie Nancy McGowan obudziła się z długiego, pozbawionego marzeń snu. Czuła się tak, jakby łamano ją kołem. Mięśnie bolały ją, jak po trwającym całe tygodnie treningu.

Mimo to czuła się szczęśliwa.

Dotarła do otoczonego tajemnicą Sakriversum o wiele łatwiej, niż sobie wyobrażała. Być może dlatego, że jako doświadczona akrobatka cyrkowa szybciej od innych odkrywała pomocne we wspinaczce występy muru i poprzeczne połączenia.

Do tego jeszcze to wspaniałe uczucie, że jest w końcu sama. Od czasu dzieciństwa w laboratorium oraz okresu, kiedy musiała pokazywać swoje sztuczki tysiącom ciekawskich gapiów czuła paniczny strach przed ludźmi.

Zawsze odczuwała obawę, że każdy z nich czeka tylko na jej jedno fałszywe słowo czy ruch. Wiedziała, że przez całe lata była obserwowana nawet we śnie. Potwory w ludzkiej skórze i białych fartuchach bez przerwy wysysały jej krew. Inne, te w zielonych fartuchach i maskach z gazy na twarzach, w czepkach i gumowych rękawicach ciągle przywiązywały ją do stołów operacyjnych. Od momentu urodzin przesładowało ją piekło infuzyjnych przewodów,

igieł, reflektorów w salach operacyjnych, ruchomych narzędzi tortur zaopatrzonych w elektrody, dragających automatów rejestrujących i wrogo mrugających świetlnych punktów.

Nie była człowiekiem, ale genetyczną anomalią, czyli materiałem dla wielu prac doktorskich.

Teraz, po raz pierwszy w życiu, czuła się naprawdę wolna.

Nancy wdrapała się do miejsca, gdzie za załomem muru widziała kolorowe plamy światła. Znowu przypominała sobie, jak przez rozbitą szybę wzołgała się do swojej jaskini. Szkło rozetowego okna było zabezpieczone ochronną warstwą środków chemicznych. Zapewne tylko dlatego większość starych szyb przetrzymała falę podmuchu, spowodowanego przez neutronowy wybuch.

Nancy wiedziała bardzo dużo o cywilizacji, która przestała istnieć. Dzięki wielu testom laboratoryjnym, podczas których sprawdzano także jej zdolności intelektualne, dowiedziała się więcej niż inni w jej wieku.

Wiedziała, że jej serce bije szybciej, jej ciśnienie krwi i temperatura ciała są wyższe niż u normalnych ludzi. Ale również i jej iloraz inteligencji - 185 - był znacznie wyższy od przeciętnej.

Dużo nauczyła się także dzięki swoim prywatnym nauczycielom. Kiedy Corvay odebrał ją z laboratorium w wieku dwunastu lat, była już posiadaczką wielu dyplomów - była B.A., M.A. i doktorem honoris causa uniwersytetu w Yale w New Haven w stanie Connecticut.

Nie ustrzegło jej to jednak przed niewolą u Corvaya. Przez ponad dwa lata wędrowała jako członek jego trupy od jednego namiotu cyrkowego do drugiego. Występowała w Las Vegas i w drogich klubach Nowego Jorku.

Nar y zbliżyła się do górnego segmentu olbrzymiego rozetowego okna.

Kij spojrzała w bok, drgnęła z przerażenia.

Corvay!

Z trudem tylko udało się jej stłumić okrzyk. W panicznym strachu uciekła z powrotem pod ochronę ciemności. Nie namyślając się, rozpoczęła wspinaczkę po występach muru i zakurzonych belkach.

Nigdy by nie pomyślała, że Llewellyn Corvay, z tyłoma wygłodniałymi ludźmi, tak szybko dotrze na górę...

Rozdział XV

Długa kolumna Wybranych i Włóczęgów zbliżała się do celu. Po wąskich pomostach z cegieł i kamiennych brył wolno wlekli się mężczyźni, kobiety i dzieci, zmęczeni, naznaczeni tygodniami pobytu w ciemnościach.

Pierwsi ludzie Corvaya dotarli właśnie do rozetowego okna i rozciągali długie liny sięgające otworów na wieży. Najsilniejsi z nich, bladzi ze strachu, że mogą w każdym momencie spaść, wciągali się na górę, pod kolorowe szyby. Mimo że Wybrani byli jeszcze bardziej zmęczeni od Włóczęgów, trzymali się razem w swoich rodzinnych grupach.

Członkowie klanów pomagali sobie wzajemnie. Gdy Włóczędzy podchodzili do nich, nawołując do większego pośpiechu, skupiali się wokół swoich przywódców, którzy prawie jak w transie utrzymywali w Rodzinach spokój i porządek. Najcięższe zadanie przejęły na siebie matki, pocieszające dzieci i dodające im bez przerwy otuchy. Kiedy mężczyźni z ludu Wybranych razem z Włóczęgami naciągali liny, zakładali drabiny i wbijali w mury haki, kobiety obu narodów jakby zbliżyły się do siebie. Zdawały sobie jednak sprawę, że jest to w najlepszym wypadku pokój krótkotrwały...

Przed rozetowym oknem po zachodniej stronie katedry powstało zamieszanie i tłok jak za czasów budowy wieży. Mali ludzie chwytali się każdego występu muru, jaki znajdował się w ich zasięgu.

Krwawiącymi palcami wczepiali się w szpary między kamiennymi blokami i cegłami.

- Hej, hej! - pokrzykiwali nieustannie doradcy Corvaya. - Kto nie dotrze tam przed wieczorem, nie dotrze nigdy!

Gwizdy i przekleństwa odbijały się echem od ścian północnej i południowej wieży katedry. Llewellyn Corvay zaczął przepierać siebie na drugą stronę w plecionym fotelu. Stracił już wiele ze swojego wspaniałego wyglądu, ale nadal pozostał centralnym punktem pochodu.

Na jednej z filigranowych ozdób rozetowego okna siedzieli, niczym zakurzone ptaki, Galus i Lello, przypatrując się jak kilku Wybranych wciągało do góry zwłoki mistrza Wolframa; Wybrani bowiem, w przeciwieństwie do Włóczęgów, nie pozostawili na długiej, pełnej trudów drodze żadnego ze swoich zmarłych.

- Musimy uważać, żeby nie wpadli we wściekłość, kiedy odkryją, że już byliśmy w ich wsi - chichocząc powiedział Lello.

- Powinniśmy dokonać selekcji jeszcze na dole, w Ołowianych Podziemiach! - warknął Hector. Corvay potrząsnął przecząco głową.

- Wtedy wszyscy pozostaliby na dole!

- Na to nie moglibyśmy sobie pozwolić - przytaknął Galus, spoglądając na króla. - Nie znamy się na uprawie pól ani hodowli. Nie znamy nawet reguł społecznych, które pozwoliły Wybranym przeżyć w relatywnym spokoju siedem stuleci. Oni muszą znać tajemnice, dzięki którym zdołali się przystosować do życia lepiej od naszych przodków. Wybrani nie mają najwyższego władcy, papieża czy króla.

To właśnie jest u nich najdziwniejsze. Wszyscy przywódcy klanów są równouprawnieni, bez względu na to, jaki za wód jest wykonywany przez ich Rodziny. Czczą swoich starców, ale żaden z nich nie ma więcej władzy od innych!

- Tak jak pierwsi chrześcijanie! - stwierdził Hector pod wpływem nagłego olśnienia, które spłynęło na jego przytępiony umysł.

- Być może - Odparł Galus. - Zawsze robili wszystko razem. Każdy z nich dawał tyle, ile mógł i dostawał, ile potrzebował. Zaszli w tym tak daleko, że podczas urodzajnych lat nie obsiewali części swoich pól.

- A Włóczędzy po drugiej stronie dachu musieli głodować - warknął Hector. - Nie rozumiem, dlaczego jeszcze przed stuleciami nie wpadliśmy na pomysł, żeby podłączyć się do tego cudownego świata i zatroszczyć o to, żeby nas żywił...

- Od kiedy zacząłem myśleć, też zadawałem sobie to pytanie - stwierdził Corvay. - Nurtowało mnie to od czasu, kiedy usłyszałem legendy o świecie, w którym niczego nie brakowało, podczas gdy ja nie mogłem zasnąć z głodu.

- Nie zapominajcie o Diabelskim Murze! - zaskrzeczał Lello.

- Uważacie, że Wybrani zbudowali Diabelski Mur z zamiarem stworzenia zatrutego wału obronnego pomiędzy obiema częściami Sakriversum? - zamyślił się Corvay.

- Diabelski Mur istniał od samego początku - potrząsając głową odpowiedział Galus. - Był częścią planu budowy katedry. Oczywiście istnieją przejścia, w przeciwnym wypadku nie udało by się nam, tuż przed katastrofą, przedostać się na drugą stronę. Ale w normalnych czasach kłątwa była silniejsza od wszelkich prób połączenia obu światów!

- Zbudujemy most! - powiedział nagle Llewellyn Corvay. - Most, który połączy wejście do Sakriversum po obu stronach rozetowego okna. Ponieważ nie ma już żadnych Wielkich Ludzi, nie musimy się obawiać, że ta konstrukcja zostanie kiedykolwiek odkryta.

- Moglibyśmy także w Diabelskim Murze zrobić wyłom tak duży, żeby powstało bezpieczne połączenie - wyraził swoje zdanie Hector.

- Nie, nie znamy się na tyle na obliczeniach statycznych. Będziemy potrzebowali tylko pomieszczeń na obóz, baraki, jaskinie i sypialnie dla Wybranych, którzy w czasie dnia będą pracowali na będących kiedyś ich własnością polach. W nocy zaś będą izolowani tam, gdzie my musieliśmy spędzić setki lat.

Szalony Lello spojrział na króla z szeroko otwartymi ustami i wskazał na grupę Wybranych, którzy, wyczerpani, właśnie dotarli do rozetowego okna.

- Oni mają żyć tam, skąd my pochodzimy, a my zabierzemy ich wieś?

Llewellyn Corvay pogardliwie wyduł usta.

- Jak sądzisz, dlaczego się tak długo z nimi męczymy?

Lello wyduł z siebie obłąkany, podobny do świergotu ptaka okrzyk, uderzając twardo kilka razy w struny gitary. Teraz wiedzieli już, że Corvay był wielkim człowiekiem - człowiekiem, który sięga swoimi myślami daleko w przyszłość...

*

Guntram szedł w górę strumienia. Trochę wstydził się, że zostawił Agnes samą.

Tuż przed spadającą w dół z małej tamy strugą, znalazł kilka spłśnionych i stale utrzymywanych w wilgoci worków na wino z koziej skóry. Należały do rodziny mistrza Bieterołfa.

Guntram napełnił dwa bukłaki czystą wodą, zawiesił na ramieniu i wrócił na drogę.

Bolał go fakt, że Agnes nie zrozumiała tego, co stało się teraz jego obowiązkiem. Rozłąka sprawiała mu taką samą przykrość, jak jej. Ale tak musiało się stać! Jeżeli nie zrobi teraz tego, co do tej pory było zakazane, tego, co, jak sądził, jest jego obowiązkiem, nie będzie już nigdy mógł stanąć przed nią z podniesionym czołem. Musiał więc walczyć - przeciwko sobie, przeciwko swój emu strachowi i temu Nieznanemu, które mogło ich zniszczyć, gdyby nie spróbował przynajmniej poznać reguł i zasad rządzących ich egzystencją...

Ruszył dalej w drogę. W normalnych warunkach ciężar bukłaków z wodą nie sprawiłby mu wielkiego kłopotu, ale ciągle jeszcze czuł się osłabiony po tygodniach spędzonych w Ołowianych Podziemiach i długiej, ciężkiej wspinaczce.

W lesie było chłodniej. Droga, którą szedł, kończyła się wraz z ostatnimi drzewami. Teraz miał przed sobą już tylko połowę wzgórza. Guntram zgarbił się, wbił wzrok w szare kamienie na ziemi i zaniósł swój ciężar aż do kolo-
rowych szyb Wieczornego Znaku.

Położył buklaki na kupce rozbitego szkła. Kiedy się wyprostował, jego wzrok padł na twarz jednego z Włóczę-
gów.

Lello był równie przestraszony jak Guntram. Cofnął się gwałtownie i niemal stracił równowagę. Guntram przez
chwilę stał jak sparaliżowany, potem odwrócił się i uciekł w kierunku Diabelskiego Muru.

- Woda! - wykrzyknął Lello, kiedy odkrył przyniesione przez Guntrama worki. - Tu jest woda!

Jego okrzyki podziałały na znajdujących się po drugiej stronie okna Włóczęgów jak narkotyk. Dzieci, które da-
wno już nie były w stanie wykonać najmniejszego ruchu zaczęły podnosić głowy, matki zbierały resztki sił. Mężczy-
źni z krwawiącymi rękami i pęcherzami na stopach wydali westchnienie ulgi. Dziewczęta i młodzi chłopcy popatrzyli
na siebie znowu z nadzieją.

W tym momencie, na jedną chwilę, wszyscy znów się zjednoczyli.

Llewellyn Corvay natychmiast zrozumiał, że nie jest w stanie powstrzymać swoich wygłodniałych i spragnionych
poddanych. Z wrodzonym sprytem wykorzystał odkrycie Lella dla siebie.

- Wstawać! - krzyknął donośnym głosem. - Osiągnęliśmy to, co wam zawsze przyrzekałem! Wszyscy wejdźcie
ze mną do Sakriversum! - i jako jeden z pierwszych wdrapał się do środka przez rozbitą szybę w rozetowym oknie.

Włóczędzy dotarli wreszcie do Sakriversum...

Corvay podniósł swój zakrzywiony miecz. Kilku mężczyzn z jego orszaku podeszło bliżej. Znowu odzyskali zaufanie do swojego króla.

- Potrzebujemy więcej wody! - krzyknął król. - Gdzie są ochotnicy, którzy przyniosą dla naszego ludu wodę i żywność ze wsi? Wynagrodzę ich szczerze za odwagę i trud!

Kilku wojowniczo nastawionych typów z bandy Corvaya podniosło chrypliwą wrzawę.

- Naprzód chłopcy! Przynieście tu żarcie, na które tak ciężko zapracowaliśmy!

Na wyprawę do wsi wyruszyła biegiem grupa młodych, dzikich Włóczędów.

Późnym popołudniem Agnes usłyszała dochodzące z oddali głosy. Próbowwała rozpoznać, co się dzieje w okolicy Wieczornego Znak, ale rosnący na Wzgórzu Dębów las zasłaniał jej widok. To również był zabroniony teren.

Dziewczyna odwróciła się i zaczęła wracać w kierunku domu. Weszła w cień, rzucany przez dużą grupę krzewów i nagle zatrzymała się jak wryta. Głosy przybliżyły się i po chwili Agnes zobaczyła na wschodnim zboczu Wzgórza Rzepy grupę mężczyzn.

Instynktownie ukryła się za jeden z krzewów. Mężczyźni biegli prosto w stronę wsi. Pierwsi z nich dotarli już do Wzgórza Fasoli...

Nie wiedziała co robić. Była sparaliżowana ze strachu. W jaki sposób ci mężczyźni dotarli do Sakriversum? I dlaczego tak pędzili?

To byli Włóczędzy!

Rozdział XVI

Księżycowe noce należały do najpiękniejszych, wywołujących nieopisane wrażenie chwil w Sakriversum. Czegoś tak wspaniałego Nancy McGovan jeszcze nie przeżyła.

Czekała aż zapadnie ciemność i dopiero wtedy odważyła się wyjść ze swojej kryjówki. Głód i pragnienie stały się dominujące, zmuszając ją do zapomnienia o ostrożności...

Najpierw zobaczyła tylko cichą, śpiącą w srebrnej poświacie wieś. Już sam widok był tak wspaniały, że prawie się rozplakała. W jej świetle nie spotkała jeszcze czegoś tak kojącego!

Po chwili odkryła księżycy. W pierwszym momencie sądziła, że jest to złudzenie, odbicie światła w siatkówce jej zmęczonych oczu.

To było niepojęte! Setki wąskich, ukośnie wiszących księżycowych sierpów unosiły się w tajemniczym porządku na niebie, tworząc ornamente przypominające sagi o gwiazdach i legendy o kosmicznej harmonii.

Naga jak nowo narodzona, schodziła krok za krokiem po kamienistej ścieżce. Księżycy wskazywały jej drogę do Wieży Mistrzów Łoży. Nie widziała cieni przebiegających przez krzewy po lewej i prawej stronie. Nie słyszała szepczących głosów i nie zważała na żółtawy odblask ognisk za lasem na zachodzie Sakriversum.

Kiedy dotarła do dużego domu, księżycy nakazały jej czekać. Zatrzymała się i wsłuchiwała w stare melodie, które jednak nie pochodziły z zewnątrz, ale z niej samej. Po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa. Jeżeli takie miało być życie w Sakriversum, nie chciała ujrzeć już żadnego innego raj. Obeszła duży, masywnie zbudowany dom dookoła i skierowała się ku mostowi, z którego wąska kładka prowadziła do drzwi wieży.

Wysoka brama nie była zbudowana dla takich ludzi jak ona. W chwilę później odkryła inne, mniejsze wejście. Znajdowało się w cieniu, ale Nancy czuła, że księżycy nie będą miały nic przeciwko temu, żeby weszła do środka.

I tak po wielu stuleciach, dziewczyna a raczej młoda kobieta przekroczyła znowu wejście do Wieży Mistrzów Łoży.

*

Labirynt w Diabelskim Murze był jeszcze bardziej tajemniczy i skomplikowany niż ukryte korytarze, kręte schody i galerie w murach katedry.

Guntram godzinami błąkał się po korytarzach rozchodzących się we wszystkie strony jak ramiona gwiazdy, wspinał się nimi, gdy były strome, pochylone, powracał do punktu wyjścia i ponawiał swoje próby. W labiryncie przez cały czas było tyle światła, że w ponurym półmroku mógł rozpoznać stopnie i ganki. Szedł teraz, opierając się na zaszyfrowanych, magicznych regułach, które wynikały z formy korytarzy i kątów, pod którymi one biegły. Duch i materia, ludzie i bogowie - tam, gdzie był ich punkt styczności zaczynała się również prawda całego Universum...

Guntram wyszedł z labiryntu w nocy, podczas której zaświeciło tysiące księżyców. Widziane stamtąd, gdzie stał, układały się w znak Mistrzów Loży i wskazywały dokładnie na pustelnię Mistrza Albrechta...

*

Goetz rozkoszował się chłodnym, nieco wilgotnym, nocnym powietrzem. Puste miasto, wielka powierzchnia placu przed katedrą i wyrastające wysoko w górę luki portalu sprawiały, że poczuł się mały i nieważny.

Czego jeszcze chciał? Dlaczego nadal żył?

Nie wiedział już, czy ostatnie dni i godziny były jawą czy snem. Najchętniej powróciłby do katedry, ukląkł gdzieś i oczekiwał, żeby dźwięki organów i chóru przeszkodziły mu w dalszym rozmyślaniu...

Nie! - mruknął, potrząsając głową. Weź się w garść człowieku! Nie czuł już żadnego bólu. Prawdopodobnie jego ciało wkrótce znacznie odczuwać skutki neutronowego błysku, ale nie chciał teraz o tym myśleć. Powinien się skoncentrować na tym, jak przeżyć następne tygodnie i miesiące bez rezerw katedry. Ale gdzie?

Najlepiej znał budynek wydawnictwa. Poza żywnością było w nim wszystko, czego potrzebował do dalszej egzystencji. Gdyby uprzętnął trupy i doprowadził do porządku niektóre pomieszczenia, mógłby tam mieszkać przez następne dni. Najważniejsze, że trochę znał się na urządzeniach, komputerach i innych technicznych aparatach, które się tam znajdowały.

Tej nocy Goetz długo nie mógł zasnąć. Swoją obóz rozbił w pomieszczeniu zajmowanym dawniej przez zecerów. Jeszcze wieczorem wziął prysznic, zażył kilka lekarstw, ubrał się w czysty kombinezon i służbowe, wysokie buty z przepisowymi ochraniaczami. Ze skromnych zapasów, znajdujących się w pomieszczeniu zrobił sobie kolację.

Potem poszedł na górę i usiadł przy jednym z okien. Myślał o różnych rzeczach, aż na niebie pojawił się srebrny sierp księżycy.

W poczuciu obezwładniającej sytości upajał się czarodziejską ciszą. Ze swojego miejsca mógł spoglądać na okna, filary i wieżyczki katedry. Mimo iż właściwie powinien skoncentrować się na mieście, jego myśli ciągle krążyły wokół wydarzeń, rozgrywających się w tej olbrzymiej, pełnej tajemnic budowli.

Mali ludzie!

Podniecony zerwał się z miejsca.

Usiadł przed jednym z ekranów i włączył komputer. Ponownie podziękował swojemu Stwórcy, że do wydawnictwa doprowadzono zasilanie niezależne od ogólnej sieci.

Poprzez zestawienie haseł, pojawiających się na ekranie monitora Goetz usiłował dotrzeć do poszczególnych pytań, na które mógłby otrzymać z archiwum komputerowego oczekiwaną odpowiedź. Ograniczył się jedynie do analizy informacji pochodzących z trzech ostatnich miesięcy przed katastrofą: HASŁO POSZUKIWANE: KARŁY (WSZYSTKICH RODZAJÓW) ZAKRES: CAŁY ŚWIAT (PUNKT CIĘŻKOŚCI - EUROPA) POWÓD: AKCJE (LUB WYSTĘPY) TEMAT WTÓRNY: OSOBLIWOŚCI

Rozpoczął od programów oficjalnych, przy czym jego poszukiwania ograniczały się do wiadomości i komentarzy.

BRAK DANYCH.

Potem przyszła kolej na stację prywatne.

BRAK DANYCH.

Agencje informacyjne.

BRAK DANYCH.

Gazeta telewizyjna. Program AV. Telewizja kablowa. Wszędzie ten sam zniechęcający efekt. Przez ostatnie miesiące nikt nie powiedział nic na temat małych ludzi! W każdym razie nie w objętych pamięcią informacjach i komentarzach...

Informacje o braku sukcesów?

Goetz czuł się już zmęczony. Nacisnął odpowiedni klawisz. W tym samym momencie wiedział już, że znalazł to, czego szukał. Wiersze na ekranie przesunęły się i pojawiły na nowo. Tu brakowało ograniczenia tematu do Europy. Wkrótce na ekranie pojawiła się krótka informacja: NEW YORK, N. Y., ABC NEWS NUMER 2018-! 8-55 DOT: EKSPERYMENT KLONOWANIA 2001 (sześćdziesiąt sześć) NANCY MCGOWAN, II SIOSTRA-CÓRKA GWIAZDY HOLLYWOODU NANCY MCGOWAN (99 FIL-

MÓW, 17 OSKARÓW) OPUŚCIŁA USA, ŻEBY W EUROPIE WZIĄĆ UDZIAŁ W ŚWIATOWEJ KONFERENCJI NAJMNIEJSZYCH LUDZI. NANCY MA 9 CALI WZROSTU: JEST KANDYDATKĄ DO MIEJSCA W KSIĘDZE REKORDÓW

Goetz odetchnął głęboko.

Kongres! Jakież spotkanie, którego nikt w Europie nie zauważył - światowa konferencja najmniejszych ludzi...

A więc jednak jestem Guliwerem, pomyślał mimo woli.

W zadumie spojrzął na lekko migoczący napis na ekranie. W jaki sposób mógł zdobyć informacje, których potrzebował?

W tym momencie, raczej przypadkowo, jego wzrok padł na mały komputer na przegubie ręki i jednocześnie wiedział już, że znalazł rozwiązanie.

Jako ostatni człowiek miał prawo podłączyć się także do tajnego banku danych Straży Ochrony Profilaktycznej! Każdy kongres, a nawet większe spotkanie rodzinne zużywało więcej energii niż zaplanowano, co z kolei musiało być przypadkiem zgłoszonym Związkowi Kontrolerów Wykorzystania Energii. A to, czego dowiadawali się strażnicy energii, przekazywane było również Straży Ochrony Profilaktycznej.

To mogło być jakieś wyjście z sytuacji!

Wstał z fotela, przez chwilę wpatrywał się jeszcze w ekran, a potem odwrócił się na pięcie i opuścił archiwum. Poszedł ku wąskim, prywatnym schodom prowadzącym do apartamentu, który zamieszkiwał J. Samuel Bruhns.

Nie zdziwił się, że ciężkie rzeźbione drzwi na drugim piętrze otworzyły się pod działaniem jego magnetycznego klucza.

Mieszkanie J.S.B. przypominało przeładowaną książkami bibliotekę w wiejskim dworze, wybudowanym w typowym, angielskim stylu. Wszędzie stały cenne meble i antyki. Ze ścian pomiędzy wysokimi regałami zwisały francuskie gobeliny, obrazy starych mistrzów i prawdziwy, pochodzący z początku czternastego wieku Giotto.

Goetz poczuł natychmiast ów szczególny zapach popiołu z cygar, starych książek, pokojowych palm, dywanów i drewnianych mebli, w tym pomieszczeniu nigdy nie było ani kawałka rezplastiku.

Goetz wiedział, gdzie ukryte było urządzenie, przy pomocy którego poprzez światłowody J.B.S. miał bezpośrednie połączenie z politykami, wysokimi urzędnikami aparatu administracyjnego i szefami przemysłu. Goetz wiedział również, iż bez tych kontaktów wydawnictwo dawno by już nie istniało...

Magnetycznym kluczem Otworzył obudowaną drewnem płytę w jednym z regalów. Wyciągnął ze skrytki wideoton, usiadł w fotelu na łóżyskach kulkowych i pochylił się nad klawiaturą. Wprowadził swój kod personalny. Teraz chciał się dowiedzieć, czy system ochrony interesów strony przeciwnej był na tyle perwersyjny, żeby mu służyć! Był ostatnim człowiekiem - pierwszym, zajmującym najwyższe stanowiska, jedynym! Był burmistrzem, dyrektorem generalnym, przewodniczącym rad nadzorczych, biskupem...

ODBIÓR NEGATYWNY

Goetz bez ruchu wpatrywał się w krwistoczerwone litery biegnące w poprzek ekranu. Czuł, jak wilgotnieją mu ręce. Strach przed władzą systemów jak lodowaty wąż pełzał mu po plecach. Pomyślał o swojej ucieczce z centrum informacyjnego katedry. Również i tam był na wstępie zaakceptowany, a następnie odrzucony.

Ale dlaczego?

Zacisnął dłoń w pięści.

- Dlaczego nie otrzymuję informacji? - zadał pytanie komputerowi.

Przez chwilę w urządzeniu coś szemrało i brzęczało. Potem czerwone litery na ekranie zgasły.

- Informacje są przekazywane-powiedział głos komputera. Jednocześnie ten sam tekst pojawił się na ekranie.

- A więc jestem uprawniony do zadawania pytań i otrzymywania odpowiedzi?

- Tak.

- Do którego stopnia utajnienia? -•

Bez ograniczeń.

- No dobrze - burknął Goetz. - A dlaczego systemy zaczynają wariować, kiedy chcę się czegoś dowiedzieć?

- Masz całkowite pełnomocnictwo dotyczące miasta - odpowiedział głos. - Wraz z drugim upoważnionym masz prawo żądać wszystkich danych.

Goetz poczuł się tak, jakby nagle zatrzymało się jego serce. Mógł dowiedzieć się wszystkiego. Z jednym małym zastrzeżeniem - potrzebował do tego drugiego człowieka...

- Takie są przepisy - powiedział bezduszny głos. - Jako DOZOROWANY OPOZ posiadasz jedynie, ograniczoną wolność działania. Powinieneś się być nad tym zastanowić wcześniej...

Dygitalizował Bodziokb